

**ALFRED HITCHCOCK**

**TAJEMNICA  
NIEWIDZIALNEGO PSA**

**PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożył: ANDRZEJ MILCARZ)

## **Słowo wstępne Alfreda Hitchcocka**

Witajcie, miłośnicy tajemnic i zagadek!

Z prawdziwą przyjemnością przedstawiam Wam Trzech Detektywów. Specjalizują się oni w niezwykłych przypadkach, wyjątkowych zdarzeniach i niesamowitych historiach. Tym razem ruszają na pomoc starszemu panu, nękanemu przez wizyty tajemniczej zjawy. I rozpoczynają poszukiwania niezwyklego psa. Znaleźć go niełatwo, bo potrafi być niewidzialny.

Czytelników, którzy nie poznali jeszcze Trzech Detektywów, informuję, że przywódcą grupy jest Jupiter Jones, puciołowaty i niezwykle bystry chłopak o nienasyconej ciekawości. Nikt chyba nie może być szybszy niż jego wysportowany kolega Pete Crenshaw. Dokumentację zespołu prowadzi Bob Andrews, on także zbiera potrzebne informacje, jest rozmiłowany w książkach i dociekliwy. Wszyscy trzej mieszkają w Rocky Beach pod Los Angeles, na kalifornijskim wybrzeżu Pacyfiku.

Tylko tyle wprowadzenia. A teraz zapraszam do rozdziału pierwszego. Tam zaczyna się przygoda!

Alfred Hitchcock

## Rozdział 1

### Tu straszy

Był zmierzch, ten gwałtowny, zimny zmierzch pod koniec grudnia, gdy Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews po raz pierwszy dotarli na Paseo Place. Minęli park, w którym na przekór chłodowi wciąż jeszcze kwitło parę jesiennych róż. Obok parku stał zdobny w sztukaterie dom z tablicą informującą, że mieści się tu probostwo parafii Świętego Judy. Za nim światło jarzyło się w witrażach kościółka, dobiegało też pohukiwanie i buczenie organów. Chłopcy usłyszeli strofy starego hymnu, wyśpiewywane cienkimi, dziecięcymi głosami.

Minęli kościół i znaleźli się przed tajemniczo wyglądającym blokiem mieszkalnym. Na poziomie ulicy miał on rząd garaży, a wyżej dwa piętra mieszkalne. Kotary szczelnie zasłaniały wszystkie okna, jakby lokatorzy chcieli odgradzić się od świata.

- To tu - powiedział Jupiter Jones. - Numer 402 przy Paseo Place. Zegarek pokazuje równo wpół do szóstej. Stawiliśmy się punktualnie.

Na prawo od garaży szerokie kamienne schody wznosiły się ku bramie. Po stopniach zbiegał akurat mężczyzna w marynarce koloru wielbłądziej sierści. Minął chłopców nie patrząc na nich.

Jupe ruszył ku schodom, a tuż za nim Pete i Bob. Nagle Pete podskoczył i krzyknął głośno.

Jupe zatrzymał się. Kątem oka dostrzegł mały ciemny kształt, sunący w dół po schodach.

- To tylko kot - uspokoił ich Bob.

- Mało na niego nie wlażem - Pete zadrżał i otulił się szczelniej kurtką narciarską. - Czarny kot!

- No co ty! - roześmiał się Bob. - Nie wierzysz chyba w to, że czarny kot przynosi pecha!

Jupe nacisnął na klamkę drzwi wejściowych. W głębi, pośrodku brukowanego dziedzińca, znajdował się duży basen kąpielowy, otoczony stolikami i fotelami. Gdy Jupe otworzył bramę, zapaliły się lampy nad wodą i wśród krzewów na obrzeżach.

- Nie wpuszczamy tu domokrażców! - tuż przy uchu Jupe'a rozległ się nosowy, zgrzytliwy głos.

W otwartych drzwiach tuż obok bramy stała gruba, ruda kobieta i patrzyła na

chłopców zezem przez okulary o nie oprawionych szklach.

- Nie obchodzi mnie, co wy tu macie, zamówienia na prenumeratę jakiegoś piśmida, cukierki, czy może kwestujecie na osierocone kanarki - burczała. - Nikt mi tu nie będzie niepokoił lokatorów.

- Pani Bortz!

Kobieta spojrzała w górę. Szczupły, siwy mężczyzna schodził z galerii biegnącej na pierwszym piętrze wzdłuż dziedzińca.

- Sądzę, że ci młodzi panowie to goście, których oczekuję - powiedział.

- Jestem Jupiter Jones - Jupe, jak to miał w zwyczaju, przedstawił się formalnie. Następnie ustąpił na bok i wskazał na przyjaciół. - Pete Crenshaw i Bob Andrews. Domyślam się, że pan Fenton Prentice?

- Tak, to ja - potwierdził starszy pan, po czym zwrócił się do kobiety przy bramie: - Nie będzie nam pani potrzebna, pani Bortz.

- Dobra! - odskrzyknęła, wycofała się do swojego mieszkania i trzasnęła drzwiami.

- Wrzaskliwa stara baba - powiedział Fenton Prentice. - Nie zwracajcie na nią uwagi. Większość lokatorów tego domu to osoby cywilizowane. Proszę, pozwólcie ze mną.

Chłopcy ruszyli za panem Prentice'em schodami na galerię. Tylko o parę kroków od szczytu schodów znajdowały się drzwi jego mieszkania. Wprowadził gości do pokoju z belkowanym sufitem i żyrandolem, który wyglądał na bardzo stary i cenny. Ze stołu błyskały piękne bombki na małej, sztucznej choince.

- Siadajcie, proszę - pan Prentice wskazał fotele i wrócił się, by zamknąć drzwi.

- Dobrze, że przyjechaliście tak prędko. Bałem się, że możecie mieć jakieś inne plany na ten świąteczny tydzień.

Pete z trudem powstrzymał się od śmiechu. Cała trójka do końca ferii miała w planie tylko jedno: unikać ciotki Matyldy. Natomiast Matylda, ciotka Jupe'a, opracowała mnóstwo planów i wszystkie oznaczały zagonienie chłopaków do roboty!

- Tak więc - perorował Jupiter - jeśli zechce pan wyjawić nam teraz powody, dla jakich zostaliśmy wezwani, zorientujemy się, czy możemy być pomocni, czy nie.

- Czy możecie być pomocni, czy nie! - powtórzył jak echo pan Prentice. - Ależ musicie mi pomóc. Tu jest potrzebne natychmiastowe działanie! - głos mu zadrżał i przeszedł niemal w pisk. - Nie mogę dać sobie rady z tym, co się tu dzieje! - zamilkł na chwilę i nieco się uspokoił.

- To wy jesteście przecież tymi słynnymi Trzema Detektywami? To wasza wizytówka? - wyciągnął kartonika portfela i pokazał chłopcom.

## **TRZEJ DETEKTYWI**

**Badamy wszystko**

**???**

**Pierwszy Detektyw ..... Jupiter Jones**

**Drugi Detektyw ..... Pete Crenshaw**

**Dokumentacja i analizy ..... Bob Andrews**

Jupe zerknął na kartę i kiwnął głową, że ją poznaje.

- Przyjaciel, od którego dostałem tę wizytówkę - dodał pan Prentice - powiedział mi, że jesteście detektywami, których szczególnie interesują rzeczy... no, raczej niezwykle.

- To prawda - potwierdził Jupe. - Te pytanki na wizytówce, oznaczające nieznaną, można traktować jako wyraz tych zainteresowań. Mamy już na koncie rozwiązanie paru raczej dziwacznych zagadek. Ale dopiero kiedy usłyszymy, co pana trapi, zorientujemy się, czy możemy pomóc. Jesteśmy przygotowani do podjęcia próby, oczywiście, że tak. Rozpoczęliśmy już nawet wstępne przygotowania do pańskiej sprawy. Po otrzymaniu listu, dziś rano, przystąpiliśmy do kompletowania danych, o panu!

- Co? - krzyknął Prentice. - Co za bezczelność!

- Jeśli ma pan być naszym klientem, musimy coś o panu wiedzieć, czy to nie jest zrozumiałe? - tłumaczył spokojnie Jupe.

- Nie chcę, żeby ktoś wścibiał nos w moje osobiste sprawy - opierał się Prentice. - Jestem osobą całkowicie prywatną.

- Nikomu nie udaje się zachowanie całkowitej prywatności - obstawał przy swoim Jupiter Jones. - A Bob jest szperaczem pierwszej klasy. Bob, zechcesz powiedzieć panu Prentice'owi, co ustaliłeś?

Bob wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podziwiał tę zdolność Jupe'a do postawienia na swoim niemal w każdej sytuacji. Wyjął z kieszeni notesik i referował:

- Urodził się pan w Los Angeles, panie Prentice. Jest pan po siedemdziesiątce. Ojciec pana, Giles Prentice, zbił majątek na handlu nieruchomościami. Pan ten majątek odziedziczył. Nie ożenił się pan. Częste podróże, szczodre dotacje dla muzeów i indywidualnych twórców. Prasa nazywa pana mecenasem sztuki.

- Mało interesuję się gazetami.

- Ale one interesują się panem - ponownie odezwał się Jupe. - Widać, że żyje pan sztuką - dodał, rozglądając się po pokoju.

Salon wyglądał rzeczywiście jak wspaniała galeria sztuki. Na ścianach wisiały obrazy, liczne figurki porcelanowe zaludniały niskie stoły. Rozstawione tu i tam lampy mogły

pochodzić z jakiegoś mauretańskiego pałacu.

- No dobrze - powiedział Prentice. - Nie ma przecież nic złego w zainteresowaniu pięknymi przedmiotami. Ale czy to może mieć jakiś związek z tym, co się tu dzieje?

- A co się tu dzieje? - spytał Jupiter.

Prentice zerknął za siebie, jakby w obawie, że ktoś może podsłuchiwać w pokoju obok.

- Tu straszy - ściszył głos niemal do szeptu.

Trzej Detektywi wpatrywali się w starszego pana.

- Nie wierzycie mi? Obawiałem się, że mi nie uwierzycie, ale to prawda. Ktoś tu wchodzi pod moją nieobecność. Wracam i znajduję przedmioty w innych miejscach, niż je zostawiłem. Kiedyś zastałem szufladę wyciągniętą z biurka. Ktoś czytał moje listy.

- To duży dom - zwrócił uwagę Jupiter. - Jest tu gospodarz? Czy gospodarz nie ma zapasowego klucza?

- Bortz, to obrzydliwe babsko, jest tu gospodynią - prychnął Prentice - ale ona nie ma klucza do tego mieszkania. Założyłem specjalny zamek. A jeżeli chcecie spytać o jakąś służbę, to do mnie nikt nie przychodzi. Jest również zupełnie wykluczone, by ktokolwiek zdołał wejść przez okno. Od strony galerii nie mam żadnego okna. Okna w tym pokoju wychodzą na ulicę i znajdują się dobre sześć metrów ponad trotuarem. Sypialnia i gabinet mają okna na kościół, również na dużej wysokości. Ktokolwiek chciałby dostać się do któregoś z okien, musiałby użyć długiej drabiny, rzecz z pewnością nie do zrobienia po kryjomu.

- Musi być drugi klucz - oświadczył Pete. - Ktoś posługuje się nim, kiedy pan jest nieobecny i...

- Nie - Fenton Prentice przerwał mu podnosząc rękę. - Ktoś rzeczywiście tu wchodzi pod moją nieobecność, ale nie to jest najgorsze - znowu rozejrzał się dookoła, jakby nie był pewien, czy tylko ci trzej chłopcy są jego słuchaczami. - Czasami przychodzi, kiedy tu jestem. Ja... ja go widziałem. Wchodzi i wychodzi. Przez zamknięte drzwi.

- Jak on wygląda? - spytał Jupiter.

Pan Prentice nerwowo splatał i rozplatał dłonie.

- Policjant na pewno zadałby takie pytanie. Ale nie uwierzyłby w to, co mówię. Właśnie dlatego wezwałem was, a nie policję. To, co widzę, nie jest... nie jest właściwie osobą. To jest podobniejsze do cienia. Czasem czytam coś i nagle czuję... Czuję czyjaś obecność tutaj. Jeśli spojrzę, mogę zobaczyć. Kiedyś widziałem kogoś w przedpokoju. Był wysoki i szczupły. Coś do niego powiedziałem. Może krzyknąłem. Nie odwrócił się, lecz

wszedł do gabinetu. Wszedłem za nim. Pokój był pusty.

- Mogę zajrzeć do gabinetu? - spytał Jupiter.

- Oczywiście - Prentice poprowadził Jupe'a poprzez mały, kwadratowy przedpokój do obszernego pomieszczenia o skąym oświetleniu. Stało tam dużo półek z książkami, skórzane fotele i wielkie, staroświeckie biurko. Z kościoła widocznego za oknem nie dochodziło już buczenie organów, a na ulicy rozlegały się dziecięce głosy. Najwyraźniej próba chóru dobiegła końca.

- Do gabinetu jest tylko jedno wejście - zaznaczył Prentice. - Tylko te drzwi z przedpokoju. Proszę nie mówić o żadnym ukrytym przejściu. Mieszkam tu od wielu lat i wiem, że niczego takiego nie ma.

- Od kiedy odnosi pan to wrażenie, że jest pan nachodzony przez jakiegoś... od kiedy to się zdarza? - spytał Jupiter.

- Od kilku miesięcy. Początkowo... początkowo nie chciało mi się wierzyć. Myślałem, że mam urojenia, bo jestem przemęczony. Zdarza się to jednak tak często, że teraz jestem pewien: to nie są żadne urojenia.

Jupe pojął, iż ten człowiek bardzo pragnie, by mu uwierzyć.

- Myślę, że różne rzeczy są możliwe - powiedział Pierwszy Detektyw.

- Więc zajmiecie się moją sprawą? Zbadacie to?

- Muszę to omówić z kolegami - odpowiedział Jupe. - Czy możemy zadzwonić do pana rano?

Prentice skinął głową i wyszedł z gabinetu. Jupe zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał, Dziwna historia. Nagle coś poruszyło się w ciemnym kącie, koło półek z książkami,

- Pete! - Jupe aż wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Wołałeś mnie? - głos Pete'a, donośny i pogodny, dobiegł z salonu.

Sekundę później w gabinecie zapaliło się jasne światło i Pete stanął w drzwiach.

- O co chodzi? - spytał.

- Byłeś... byłeś w salonie, gdy cię wołałem...

- Tak. Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Myślałem, że widzę ciebie. Tam w kącie. Wydawało mi się, że tam stoisz - Jupe wzdrygnął się. - To musiał być cień.

Jupe precyzyjnie przesunął się obok przyjaciela i wszedł do salonu.

- Skontaktujemy się z panem jutro - obiecał Prentice'owi.

- Dobrze - człowiek, który był przekonany, że w jego mieszkaniu straszy, otworzył drzwi wychodzącym chłopcom.

W tym momencie rozległo się coś jakby detonacja spowodowana przedwczesnym zapłonem w silniku samochodowym albo wystrzał z broni palnej.

Pete skoczył przez drzwi ku barierze na galerii. Dziedziniec wyglądał na pusty, ale spoza budynku dobiegał czyjś krzyk. Trzasnęły drzwi i zadudniły kroki na schodach niewidocznych z miejsca, gdzie stał Pete. Następnie na chodniku wiodącym do tylnej części podwórka ukazał się mężczyzna. Miał na sobie ciemną wiatrówkę i czarną, narciarską czapkę kominiarkę. Przebiegł obok basenu i główną bramą wy dostał się na ulicę.

Pete rzucił się ku schodom. Był już prawie na dole, gdy z głębi podwórka wyłonił się policjant.

- Ej, bracie! - krzyknął gliniarz. - Stój tam, gdzie jesteś, bo możesz oberwać!

Drugi policjant wbiegł na dziedziniec. Pete widział, że obydwaj wyciągnęli broń. Podniósł ręce do góry i zamarł na schodach.



## Rozdział 2

### Nocna obława

- Mike - powiedział młodszy z policjantów - to chyba nie jest ten facet.

- Ciemna wiatrówka, jasne spodnie - odrzekł starszy. - A kominiarkę mógł po drodze wyrzucić.

- Mężczyzna w narciarskiej kominiarce przebiegł przez podwórko i ulotnił się frontową bramą - powiedział szybko Pete. - Widziałem go.

Jupe i Bob zeszli na schody wraz z panem Prentice'em.

- Ten młody człowiek był u mnie przez ostatnie pół godziny - oświadczył Prentice policjantom.

Zawyły syreny, zjeżdżały się wozy patrolowe.

- Chodźmy - ruszył się młodszy funkcjonariusz. - Tracimy czas.

Policjanci mijali frontową bramę, gdy otworzyły się drzwi mieszkania pani Bortz.

- Panie Prentice, co te chłopaki zmalowały? - krzyknęła.

Z mieszkania na parterze po prawej stronie dziedzińca wygramolił się młody mężczyzna. Przecierał oczy, jakby dopiero co się obudził. Jupe popatrzył na niego i drgnął lekko.

- Co jest? - spytał Bob.

- Nic - odparł Jupe. - Później ci wyjaśnię.

- Panie Prentice, pan mi nie odpowiedział! - warknęła Bortz. - Co zrobiły te chłopaki?

- To nie pani sprawa - mruknął Prentice. - Policja kogoś szuka. Jakiegoś przestępcy, który biegł od tylnego wejścia do frontowej bramy.

- Włamywacza - powiedział młody mężczyzna, ten który wyszedł zaspany z mieszkania na parterze. Ubrany był w ciemny sweter i jasno-brązowe spodnie, a na bosych stopach miał tenisówki. Jupe, który szczylił się umiejętnością dostrzegania szczegółów, zwrócił uwagę, że zaspany nie mył swych ciemnych, prostych włosów raczej od dawna. Mężczyzna był tylko trochę wyższy niż Pete i bardzo chudy.

- Sonny Elmquist, ty mądralo! - krzyknęła pani Bortz. - Skąd wiesz, że szukają włamywacza?

Młody człowiek nerwowo przełknął ślinę, aż grdyka wyskoczyła mu ponad sweter.

- A co by to mogło być innego? - spytał.

- Rozejść się! - słychać było krzyk z ulicy. - Sprawdźcie wszystkie przejścia i

przeszukajcie ten kościół!

Trzej Detektywi wraz z Fentonem Prentice'em wyszli na schodki przed blokiem. Na ulicy stały cztery samochody patrolowe. Światła latarek omiały ścieżki i krzewy, które przeszukiwali policjanci. Nad głowami klekotał helikopter, rzucając snop ostrego światła na wszystkie zakamarki. Tu i tam zbierały się grupki gapiów.

- Nie mógł daleko uciec! - krzyknął ktoś z poszukujących. - Musi być gdzieś tutaj!

Tęgi, siwy jegomość stał przy krawężniku i z podnieceniem tłumaczył coś porucznikowi policji. Po chwili odwrócił się i skierował ku schodkom, na których stali chłopcy.

- Fenton! - zawołał. - Fenton Prentice!

Pan Prentice zszedł na dół. Mężczyzna ujął go za ramię i zaczął mu coś opowiadać. Prentice słuchał uważnie. Zdawało się, że zupełnie zapomniał o chłopcach.

- Chodźmy zobaczyć, co się dzieje w kościele - Pete szturchnął Jupe'a łokciem.

Drzwi kościoła były otwarte. Parę osób, wśród nich pani Bortz i Sonny Elmquist, zaglądało z chodnika do wnętrza świątyni. Dwóch policjantów przeszukiwało kościół, zagładając także pod ławki.

Jupe minął grupę gapiów i wszedł do środka. Ujrzał świece pełgające na stojakach przed ołtarzem, czerwone, niebieskie i zielone lampki świąteczne. Zobaczył też nieruchome figury, posągi na piedestałach i posągi na podłodze, w kątach i przy ścianach. Sierżant policji przepytывał otyłego, czerwonego na twarzy mężczyznę, który trzymał w rękach stos śpiewników kościelnych.

- Mówię panu, że nikt tu nie wchodził - zapewniał grubas. - Byłem w kościele przez cały czas. Gdyby ktoś wchodził, na pewno bym widział.

- Dobrze, dobrze - skwitował sierżant. - Teraz zechce pan wyjść. Musimy przeszukać cały budynek.

- Ty też wyjdź stąd, synu - sierżant odwrócił się do Jupe'a. - Na ulicę!

Jupe wycofał się wraz z oburzonym grubasem, który przez cały czas dzierżył w rękach śpiewniki. Na zewnątrz do zebranych ludzi dołączył szczupły, raczej młody mężczyzna, ubrany na czarno, z koloratką pod szyją, najwyraźniej ksiądz. Doszła również niska kobieta o siwych włosach upiętych w kok.

- Księżę McGovern! - krzyknął grubas ze śpiewnikami. - Niech ksiądz im powie. Byłem w kościele przez cały czas. Nikt nie mógł wejść do kościoła tak, żebym go nie zauważył, niezależnie od tego, kogo szukają.

- No dobrze, Earl - uspokajał ksiądz. - Oni muszą sprawdzić, wiesz przecież.

- Co? - Earl przyłożył dłoń do ucha.

- Muszą sprawdzić - powtórzył ksiądz głośniejszym głosem. - Gdzie byłeś ostatnio?

- Na chórze, zbierałem śpiewniki, jak zawsze.

- Ha! - roześmiała się kobieta z siwym kokiem. - Stado słoni mogłoby wbiec do kościoła i nic byś nie usłyszał. Jesteś głuchy jak pień. Z dnia na dzień coraz gorzej z twoim słuchem.

Ktoś w tłumie zachichotał.

- Pani O'Reilly - powiedział ksiądz tonem delikatnej reprimendy.

- No, już dość. Niech pani pójdzie na plebanie i zrobi nam po filiżance dobrej herbaty. A kiedy policja skończy swoje, Earl pozamyka kościół. To w gruncie rzeczy nie jest nasza sprawa, rozumie pani.

Tłum rozstał się, by przepuścić Earla, księdza i kobietę. Kiedy wszyscy troje zniknęli w budynku ozdobionym sztukateriami, jeden z gapiów wyszczerzył się w uśmiechu do chłopców.

- Mieszkacie tutaj? - spytał, przekrzykując warkot krążącego nad głowami helikoptera.

- Nie - odpowiedział Bob.

- Nuda nam tu nie grozi - zapewnił mężczyzna i wskazał w stronę plebanii. - Earl jest kościelnym, ale uważa, że to on kieruje parafią. Pani O'Reilly jest gospożą, ale uważa, że kieruje parafią ona. A ksiądz McGovern robi, co może, by tych dwoje nie wykierowało go na tamten świat.

- To za dużo jak na jednego księdza - włączyła się jakaś kobieta.

- Stara gospodyni, która widzi duchy w każdym kącie, i uparciuch kościelny, co to jest pewien, że kościół by się zawalił, gdyby on go nie podpierał.

Policjanci wyszli z kościoła. Sierżant wypatrywał kogoś wśród gapiów.

- Gdzie jest człowiek, który zajmuje się tym kościołem? - spytał.

- Poszedł z księdzem na herbatę - pospieszył z odpowiedzią mężczyzna, który zagadywał wcześniej detektywów. - Przyprowadzę go zaraz.

Helikopter policyjny zatoczył jeszcze jeden krąg i odleciał na północ. Zbliżył się porucznik, który rozmawiał wcześniej z przyjacielem pana Prentice'a.

- W kościele niczego nie znalazłem - zameldował mu sierżant.

- Nie rozumiem, jak on zdołał ulotnić się z tego terenu - westchnął porucznik. - Zwykle helikopter ich wyłuskuje, chyba że się pod coś schowają. Dobra. Dzisiaj już nic więcej nie zrobimy.

Kościelny Earl wyszedł pospiesznie z plebanii i podreptał do kościoła. Zatrzasnął

drzwi za sobą.

Po paru minutach policja odjechała, a gapie powoli rozeszli się do domów.

Jupiter, Pete i Bob ruszyli z powrotem w stronę bloku mieszkalnego przy Paseo Place. Fenton Prentice wciąż rozmawiał z siwym mężczyzną.

- Panie Prentice - przysunął się Jupiter - przepraszam, że przerywam, ale...

- Nic nie szkodzi - pan Prentice wyglądał na bardzo zmęczonego. - Dowiedziałem się właśnie od Charlesa, od pana Niedlanda, co tu się wydarzyło.

- Było włamanie do domu mojego brata - poinformował przyjaciel Prentice'a. - Dom znajduje się przy Lucan Court. To następna ulica.

- Bardzo mi przykro, Charles - powiedział pan Prentice. - To musi być szczególnie bolesne dla ciebie.

- Dla ciebie również - odparł Niedland. - Ale nie zamartwiaj się tym zanadto i spróbuj trochę odpocząć. Porozmawiam z tobą rano.

Charles Niedland przeszedł przez dziedziniec do tylnego wyjścia, za którym, jak przypuszczał Jupe, musiał znajdować się chodnik wiodący ku domom przy sąsiedniej ulicy. Fenton Prentice przysiadł na schodach. Wydawało się, że nie może już ustać na nogach z wyczerpania.

- Co za profanacja! - jęknął.

- To włamanie? - spytał Bob.

- Edward Niedland był moim przyjacielem - wyjaśnił Prentice. - Przyjacielem, podopiecznym i znakomitym artystą. Umarł dwa tygodnie temu. Na zapalenie płuc.

Chłopcy milczeli.

- Wielka strata - westchnął Prentice. - Bardzo trudno mi się z tym pogodzić i bardzo ciężko jest jego bratu Charlesowi. A teraz włamali się do domu zmarłego!

- Czy coś zaginęło? - spytał Bob.

- Charles jeszcze nie wie. Właśnie poszedł tam z policją, żeby sprawdzić, czy coś ukradziono.

Za plecami chłopców zadudniły czyjeś kroki. Bob i Pete odwrócili się. Krzepko wyglądający mężczyzna w beżowym swetrze szedł żwawo w kierunku schodów. Na widok Prentice'a siedzącego w otoczeniu chłopców zatrzymał się i popatrzył pytająco.

- Coś się stało?

- Włamanie. Niedaleko stąd, panie Murphy - wyjaśnił Prentice. - Policja robiła obławę.

- Ojej! Właśnie zastanawiałem się, czemu tu tyle wozów policyjnych. Złapali faceta?

- Niestety, nie.

- To fatalnie - stwierdził Murphy. Przeszedł obok Prentice'a i wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Po chwili chłopcy usłyszeli odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi mieszkania.

- Chyba pójdę na górę odpocząć - powiedział Prentice. Podniósł się z trudem. - Chłopcy, wpadnijcie, proszę, do mnie jutro w sprawie tej umowy o waszej pomocy. Nie mogę tego już dłużej wytrzymać. Najpierw zjawa, potem śmierć Edwarda, teraz włamanie: to więcej, niż człowiek potrafi znieść!

## Rozdział 3

### Magiczna pasta

Bardzo wcześnie następnego ranka Bob Andrews i Pete Crenshaw spotkali się przed składem złomu Jonesów. Skład był własnością Jupiterowego wuja Tytusa i ciotki Matyldy. Miejsce to musiało wprawić w zachwyt każdego miłośnika dziwnych, starych przedmiotów. Większości zakupów dokonywał wuj Tytus, który miał talent gromadzenia niezwyklej rzeczy obok pospolitego śmiecia. Ciągnęli tu ludzie z całej południowej Kalifornii, by buszować w jego kolekcjach. Boazerie ścienne z domów przeznaczonych do rozbiórki, ozdobne elementy kutych ogrodzeń, marmurowe kominki, staroświeckie wanny, stojące na pazurzystych łapach wielkich drapieźników, dziwaczne mosiężne klamki i zawiasy - wszystko to można było znaleźć u wuja Tytusa. Nawet organy, które wuj Tytus uwielbiał i nie chciał ich sprzedać za żadną cenę.

Kiedy Bob i Pete zjawili się tego grudniowego ranka, żadni poszukiwacze skarbów nie grasowali jeszcze wśród gór złomu. Prawdę mówiąc, wielka, żelazna brama składu była wciąż zamknięta na kłódkę.

Pete ziewnął.

- Czasami żałuję, że w ogóle poznałem Jupitera Jonesa - oświadczył. - To bezczelność, dzwonić o szóstej rano!

- Nikt nie twierdzi, że Jupe nie jest bezczelny! - zauważył Bob. - Ale jeżeli dzwonił tak wcześnie, wiadomo, że to musi być ważne. Chodźmy.

Chłopcy odeszli od zamkniętej bramy i posuwali się wzdłuż parkanu z desek, który otaczał skład złomu. Płot udekorowali artyści z Rocky Beach, którym wuj Tytus od czasu do czasu wyświadczał jakąś przysługę. Na frontowej części ogrodzenia wymalowali sztorm na morzu. Wielkie jak góry fale zatapiały żaglowiec, a zagładzie statku przyglądała się umieszczona na pierwszym planie ryba, wytykając głowę z morskiej toni. Bob nacisnął na rybie oko i dwie zielone deski ogrodzenia odchyliły się na bok. Była to Pierwsza Zielona Brama, czyli jedno z tajnych wejść do składu złomu.

Sekretna furtka zamknęła się za Bobem i Pete'em, którzy znaleźli się w odkrytym warsztacie Jupitera, zakątku oddzielonym od reszty składu starannie spiętrzonymi stertami rupiecia. Stała tam niewielka prasa drukarska, a za nią kawał stalowej kraty, którą Bob odsunął na bok, otwierając wejście do Tunelu Drugiego. Tunel pokonywało się czołganiem, gdyż był to kawał grubej rury z blachy falistej, biegnącej pod zwałami złomu do Kwatery

Głównej.

Za Kwaterę Główną służyła Trzem Detektywom stara, poobijana przyczepa kempingowa, ukryta za piramidami gratów, rupieci, żelastwa.

Pete ustawił kratę w poprzednim położeniu i wsunął się do tunelu za Bobem. Rura kończyła się bezpośrednio pod przyczepą kempingową.

- Co wam zajęło tyle czasu? - spytał Jupiter Jones, gdy koledzy wygramolili się z wjazdu podłogowego. Pucowałowy młodzian krzątał się w kącie laboratoryjnym, urządzonego przez chłopców w jednym końcu przyczepy.

- Myślałem, że dobrze jest umyć zęby i coś na siebie włożyć przed wyjściem - odparł Pete. - Cóż to takiego ważnego, że musieliśmy się zrywać o świcie? A co masz w tym garnku?

Jupiter przechylił fajansowe naczynie, pokazując wypełniające je białe kryształki.

- Magiczna substancja - powiedział.

- Nie cierpię tych twoich tajemniczych sztuczek - Pete osunął się na krzesło, a głowę złożył na szafce jak do drzemki. - A szczególnie nie cierpię ich wcześniej rano.

Jupe zdjął z półki butelkę i wylał parę kropel wody na białe kryształki. Pomieszał to plastikową łyżeczką.

- Te kryształki to związek pewnego metalu. Czytałem o nich w starym podręczniku kryminologii. Rozpuszczają się w wodzie.

- Masz zamiar wygłosić nam wykład z chemii? - westchnął Bob.

- Może - Jupe wysunął szufladę i wyjął tubę białej maści. Wycisnął sporą ilość gęstej masy do roztworu w pojemniku i wszystko powoli, starannie wymieszał.

- Trzymałem tę pastę z myślą o nagłej potrzebie - powiedział z dumą. - Absorbuje wodę.

Patrzył z zadowoleniem na kremową miksturę.

- No, chyba wystarczy - zamknął wieczkiem naczynie. - Teraz mamy gotową magiczną pastę.

- Po co nam to? - spytał Pete.

- Możemy nią coś posmarować... na przykład, uchwyt szuflady w biurku pana Prentice'a. Pasta nie będzie widoczna. Przypuścimy jednak, że ktoś przyjdzie i wysunie szufladę, pociągając za uchwyt. W ciągu pół godziny na palcach tej osoby pojawią się czarne plamy. Nie do zmycia!

- Aha! - wykrzyknął Bob. - Chcesz, żebyśmy wzięli tę sprawę!

- Pan Prentice dzwonił do mnie w nocy - wyjaśnił Jupe. - Mówił, że nie może zasnąć.

Był pewien, że kilka razy wchodził do jego mieszkania ten cień czy duch. Pan Prentice zdenerwował się i wystraszył.

- Do licha, Jupe, ten facet ma świra! - nie wytrzymał Pete. - Jak takiemu można pomóc?

- Tak, to mogą być urojenia - przyznał Jupe. - Przypuszczam, że on spędza mnóstwo czasu w samotności, a samotni ludzie czasami miewają zwidy. Dlatego wahałem się, czy brać tę sprawę. Jeśli jednak nie spróbujemy tego wszystkiego wyjaśnić, chyba wyrządzimy mu krzywdę. Ma słuszość mówiąc, że nie może z tym iść na policję. Nawet w normalnej, prywatnej firmie detektywistycznej nic by nie wskórał. Jeżeli to naprawdę są tylko urojenia, pewnie nie będziemy mogli mu pomóc. Jeśli jednak kryje się za tym jakaś realna osoba, może zdołamy ją zidentyfikować. Jestem pewien, że byłaby to wielka ulga dla pana Prentice'a.

Jupiter popatrzył na kolegów.

- No to jak, mogę zadzwonić i powiedzieć mu, że przyjeżdżamy?

- Odpowiedź na to pytanie znałeś, zanim nas tu jeszcze ściągnąłeś - uśmiechnął się Bob.

- Dobra - powiedział Jupe. - Pierwszy autobus z Rocky Beach do Los Angeles odjeżdża o siódmej. Zostawię kartkę cioci Matyldzie, że nie będzie nas tu przed południem.

- Więc zadzwoń do pana Prentice'a i jedziemy - Pete podał Jupiterowi telefon. - Wolałbym nie być tutaj, kiedy twoja ciotka znajdzie tę kartkę. Słyszałeś, co mówiła wczoraj. Ma mnóstwo planów co do ciebie, ale żaden nie przewiduje smarowania czyjegoś mieszkania magiczną pastą!



## Rozdział 4

### Karpacki Ogar

Była już prawie ósma, gdy Trzej Detektywi wysiedli z autobusu jadącego w kierunku Wilshire i poszli piechotą na Paseo Place. Ksiądz McGovern, proboszcz kościoła Świętego Judy, stał przed plebanią i przetrząsał własne kieszenie. Skinął chłopcom i pozdrowił ich pogodnie.

Nie spotkali tej jędzy Bortz po drodze do mieszkania Fentona Prentice'a, ale jego samego również nie zastali. W drzwiach znaleźli list.

*Moi młodzi przyjaciele - pisał starszy pan. - Jestem przy ulicy Lucan Court pod numerem 329. To dom zaraz za blokiem przy Paseo Place, gdzie mieszkam. Wejdźcie od frontu. Będę na was czekał.*

- To ten dom, gdzie było włamanie - Jupe wsunął kartkę do kieszeni.

- Chłopcy, co wy tam robicie na górze?

Wyjrżeli przez barierę i zobaczyli panią Bortz, wychodzącą z mieszkania. Była w szlafroku, a włosy miała rozczochrane.

- Pana Prentice'a nie ma w domu? - spytała.

- Wygląda na to, że go nie ma - odpowiedział Jupiter.

- Gdzie on mógł pójść o tej porze? - panią Bortz bardzo dziwiła nieobecność lokatora.

Chłopcy zbyli to pytanie milczeniem, zeszli na dół, minęli basen i tylną bramą, obok pralni i magazynu, przedostali się na zaplecze sąsiedniej uliczki. Pomiędzy wjazdami do garaży stały tam kubły na śmiecie,

Tak jak napisał Fenton Prentice, posesja przy Lucan Court 329 znajdowała się zaraz za podwórkiem bloku mieszkalnego przy Paseo Place. Dom był drewniany, parterowy, wzniesiony na planie czworokąta. Pete zadzwonił do drzwi. Otworzył Charles Niedland, siwy mężczyzna, którego chłopcy widzieli przed kościołem ostatniej nocy. Wyglądał na bardzo znużonego.

- Wejdźcie - zaprosił do środka.

Trzej Detektywi rozglądali się po lokalu, który był jednocześnie mieszkaniem i pracownią. Funkcję sufitu i dachu pełnił w pokoju stołowym wielki świetlik. Dywanów nie było w ogóle, a mebli też niewiele, oprócz stołów kreślarskich i sztalug. Na wszystkich

ścianach wisiały fotografie i rysunki, wszędzie piętrzyły się stosy książek. Pozostałe sprzęty to mały telewizor i efektowny zestaw stereo z wielkim zbiorem płyt.

Fenton Prentice siedział na kanapie i podpierał brodę rękami. Wydawał się zmęczony, ale spokojny.

- Dzień dobry, chłopcy - przywitał ich. - Może zechcecie rozwiązać jeszcze jedną zagadkę. Okazało się, że to mnie obrabowano wczorajszego wieczoru.

- Słuchaj, Fenton - odezwał się Charles Niedland. - Jestem pewien, że to czysty przypadek. Nie ulega wątpliwości, że policja spłoszyła włamywacza, zanim zdołał wziąć cokolwiek jeszcze oprócz Karpackiego Ogara.

Pan Prentice powiedział mi - Niedland zwrócił się do chłopców - Że macie talent śledczy. Myślę, że ta sprawa to nic nadzwyczajnego. Włamywacz wszedł przez okno kuchenne. Wyciął otwór w szybie, sięgnął ręką do klamki i po prostu otworzył okno. Bardzo pospolite przestępstwo.

- Ale on zabrał tylko Karpackiego Ogara - zwrócił uwagę Prentice.

- Policja nie widzi w tym nic dziwnego - uspokajał go Niedland. - Mówią, że ten telewizor przyniósłby złodziejowi więcej kłopotów niż zysku, bo to tylko dziewięć cali, więc co z tym zrobić? Stereo jest atrakcyjniejsze, ale nabito na nim trudne do usunięcia numery polisy ubezpieczeniowej, więc to też łup niełatwy do zbycia. Poza tym nie było tu nic wartościowego. Mój brat żył bardzo skromnie.

- Wielki artysta - westchnął Prentice. - Żył dla sztuki.

- A co to takiego, ten Karpacki Ogar? - spytał Pete.

- Pies - uśmiechnął się Charles Niedland. - Pies, który prawdopodobnie istniał tylko w wyobraźni grupy przesądnych ludzi. Mój brat był romantykiem i w swej twórczości chętnie sięgał po romantyczne tematy. Według pewnej legendy dwieście lat temu w jakiejś wiosce, gdzieś w południowej części Karpat, straszył upiór psa. Górale karpaccy, zdaje się, są bardzo zabobonni.

- Ten rejon jest nazywany Transylwanią - skinął głową Jupiter. - To mają być rodzinne strony wampira Drakuli.

- Tak - zgodził się Niedland - ale ta psia zjawa nie była wampirem ani wilkołakiem. Wieśniacy wierzyli, że to duch szlachcica, zapalonego myśliwego, który trzymał sforę bardzo ostrych ogarów. Szlachcic głodził je, żeby na polowaniach ścięły zwierzynę z niezwykłą zaciekłością. Według lokalnej opowieści wyostały się któreś nocy z psiarni i zagryzły dziecko.

- O rany! - wykrzyknął Bob.

- Tak. Prawdziwa tragedia, jeśli naprawdę się zdarzyła. Ojciec dziecka domagał się, by te psy pozabijać. Szlachcic się na to nie zgodził. Podobno rzucił wieśniakowi parę monet jako rekompensatę za śmierć dziecka. Rozwścieczony góral złapał kamień i ugodził szlachcica w głowę. Ten umarł od rany, ale przed śmiercią zdołał jeszcze przekląć wioskę i wszystkich jej mieszkańców. Poprzysiągł, że będzie tu wracał jako upiór, straszyć ludzi.

- Przypuszczam, że jako upiór psa? - zgadywał Pete.

- Wielkiego ogara - potwierdził Charles Niedland. - Wielkiego, wygłodniałego ogara, który mógł być półkrwi wilkiem. Całą sforę psów myśliwskich wybito, lecz w ciemne noce jeden wychudzony zwierz snuł się pomiędzy chałupami, wyjąc i skowycząc. Wszystkie zebra miał widoczne pod skórą. Ludzie we wsi byli wystraszeni. Niektórzy rzucali bestii coś do żarcia, ale nie mogła lub nie chciała jeść. Tak więc, jeśli upiór psa był starym szlachcicem, spełniła się klątwa: we wsi zapanował strach. Szlachcic nie uniknął jednak okrutnej sprawiedliwości, nieustannie cierpiał głód, tak jak wcześniej jego własne psy.

Z czasem górale porzucili wioskę. Jeżeli pies jeszcze się tam ukazuje, błąka się wśród opustoszałych ruin.

- Czy pański brat namalował tego psa? - spytał Jupe.

- Mój brat nie był malarzem - wyjaśnił Charles Niedland. - Robił, oczywiście, szkice do swoich prac, ale był rzeźbiarzem, tworzył w szkłe, kryształ, czasem łączył kryształ z metalem.

- Karpacki Ogar był cudowny! - stwierdził Fenton Prentice. - Edward Niedland wykonał to dzieło specjalnie dla mnie. Skończył je przed miesiącem, ale nigdy mi go nie wręczył. Miał wystawę swoich nowszych prac w Maller Gallery i chciał, aby znalazł się tam również Ogar. Oczywiście z wielką chęcią na to przystałem. A teraz zniknął!

- A więc Jest to szklana statua psa? - domyślił się Bob.

- Kryształowa - poprawił go Prentice. - Z kryształu i złota.

- Kryształ to rodzaj szkła - dodał Niedland - bardzo szczególny rodzaj. Robi się go z najszlachetniejszej krzemionki z dużą domieszką tlenu ołowiu. Jest cięższy i ma większy współczynnik załamania światła niż zwykłe szkło. Mój brat kształtował ze szkła i kryształu różne przedmioty, gdy tworzywo było jeszcze bardzo gorące i niemal płynne. Po ostygnięciu podgrzewał je ponownie i robił poprawki. Cykl ten powtarzał się wiele razy, aż do momentu, gdy Edward uznał, że dzieło ma już oczekiwaną postać. Wtedy pozostało jedynie wykończenie: szlifowanie, wygładzanie, polerowanie, z użyciem kwasów. Po tych wszystkich operacjach Karpacki Ogar był wspaniałą figurą. Pies miał oczy w złotej oprawie i złoty meszek na podgardlu. Według legendy upiór psa miał jarzące się oczy.

- Może uda się go odzyskać - powiedział z nadzieją Bob. - Nie będzie łatwo to sprzedać...

- Może to kupić ktoś pozbawiony skrupułów, kto zna prace Edwarda Niedlanda - trapił się Prentice. - Był taki młody, taki utalentowany. Nie brakuje ludzi, którzy wejdą w spółkę ze złodziejami, byle tylko położyć łapę na jednym z jego dzieł.

- To tutaj robił to wszystko? - Jupe wodził wzrokiem po skromnym wyposażeniu domu. - Nie był mu potrzebny piec do pracy z płynną masą szklaną?

- Brat miał warsztat we wschodniej części Los Angeles - wyjaśnił Charles Niedland. - Właśnie tam powstawały wszystkie jego dzieła.

- A żadnych innych rzeźb tu nie było? - spytał Jupe. - Brat nic tu nie trzymał? Wszystko przechowywał w warsztacie?

- Edward miał niedużą kolekcję prac własnych i cudzych i trzymał je wszystkie tutaj w domu. Przeniosłem zbiór w bezpieczniejsze miejsce po jego śmierci. Czysty przypadek zrządził, że Karpacki Ogar znalazł się tutaj podczas włamania.

Fenton Prentice westchnął.

- To było tak - kontynuował Charles Niedland. - Wystawę mojego brata zamknięto przed paroma dniami. Edward wypożyczył na nią wykonane przez siebie prace, które były własnością różnych kolekcjonerów. Po zamknięciu wystawy osobiście zwracałem te eksponaty właścicielom. Wczoraj późnym popołudniem przyjechałem tutaj, by odnieść Fentonowi Karpackiego Ogara i posortować część książek brata. To było wtedy, gdy wy, chłopcy, pojawiliście się u Fentona, on mi o was mówił parę godzin wcześniej przez telefon. Dzwonił, żeby uzgodnić godzinę, kiedy mam mu zwrócić rzeźbę. W pewnym momencie poczułem się głodny i wyskoczyłem, żeby coś zjeść, zostawiając tu Ogara. Po powrocie zobaczyłem przez okno kogoś obcego w domu. Natychmiast od sąsiada zadzwoniłem na policję.

- Cóż, Charles, byłeś trochę nieostrożny - powiedział Prentice z odrobiną gorzkości.

- No, Fenton, nie kłóćmy się. Można to przecież uznać za pech.

- Czy ktoś jeszcze wiedział, kiedy miał pan oddać Ogara panu Prentice'owi? - spytał Jupe.

Obydwaj mężczyźni pokręcili przecząco głowami.

- Czy Ogar był ubezpieczony? - spytał Bob.

- Tak, ale co z tego? Czy można go czymś zastąpić? - stęknął Prentice. - To tak... jakby stracić Monę Lizę! Cóż znaczy odszkodowanie wobec takiego dzieła?

- Przypuszczam, że policja szukała odcisków palców i innych śladów - domyślał się

Jupe.

- Przez pół nocy rozsypywali tu wszędzie proszek do zdejmowania odcisków palców - potwierdził Niedland. - Nie wygląda jednak na to, by znaleźli jakiś istotny ślad. Przetrzęsają teraz kartoteki przestępców, w nadziei, że to może któryś z notowanych już specjalistów od kradzieży dzieł sztuki.

- Jestem pewien, że gruntownie zbadają sprawę - powiedział Jupe. - Wątpię, by można zrobić coś więcej.

Fenton Prentice pokiwał głową, pożegnał się z Charlesem Niedlandem i poprowadził chłopców z powrotem na posesję przy Paseo Place. Na dziedzińcu pani Bortz zmiatała opadłe liście. Prentice minął ją obojętnie i wszedł po schodach na galerię. Chłopcy podążali za nim.

W mieszkaniu Prentice'a Jupe pokazał pojemnik ze swoją magiczną pastą.

- Szuflady pańskiego biurka mają porcelanowe uchwyty - przystąpił do omawiania pułapki. - To ułatwia sprawę. Ten środek chemiczny wchodzi w reakcję z metalami. Gdyby uchwyty były mosiężne, mogłyby ulec zniszczeniu, a porcelanie nic nie grozi. Posmarujemy ją pastą i pójdziemy sobie. Jeśli ktoś pod naszą nieobecność tu wejdzie i wysunie szufladę biurka, na jego rękach pojawią się czarne plamy.

- Mój nieproszony gość nie przejmuje się chyba tym, czy ja tu jestem, czy nie - Prentice miał wątpliwości. - Poza tym nie są dla niego przeszkodą ani ściany, ani zamknięte drzwi. Jakim problemem mogłaby dla niego być szuflada?

- Panie Prentice, możemy przynajmniej spróbować - nalegał Jupe.

- Powiedział pan nam, że kiedyś po powrocie do domu stwierdził pan, iż ktoś grzebał w pańskiej szufladzie.

- Dobrze - zgodził się Prentice. - Chcę spróbować wszelkich sposobów. Nasmaruj uchwyty szuflad, a potem pójdziemy coś zjeść.

- Cudownie! - krzyknął Pete. - Jestem głodny jak wilk!

Jupe papierową serwetką nałożył pastę na porcelanowe gałki. Następnie trzej chłopcy i pan Prentice zeszli wolno schodami na dziedziniec, rozprawiając głośno o tym, gdzie by tu pójść coś zjeść. Koło basenu nie było nikogo, dopiero w bramie spotkali panią Bortz i tego chudego młodego faceta, który nazywał się Sonny Elmquist.

Przed kościół zajechała karetka pogotowia.

- Co się stało? - spytał Pete.

- To kościelny - powiedział Elmquist. - Jest ranny! Ksiądz znalazł go przed chwilą na chórze!

## Rozdział 5

### Splamione ręce sprawcy

Trzej Detektywi i pan Prentice ruszyli w pośpiechu w stronę kościoła. Sanitariusze w białych fartuchach wynosili właśnie kościelnego Earla. Leżał na noszach przykryty kocem po samą brodę.

Pojawił się ksiądz McGovern wraz z lamentującą donośnie panią O'Reilly.

- Zabili go! - zawodziła kobieta. - Zabili! Zamordowali! Nie żyje!

- Pani O'Reilly, on żyje, dziękować Bogu! - uspokajał błady proboszcz. Drżącymi rękami zamykał na klucz drzwi kościoła. - Powinienem przyjść tu z nim wczoraj wieczorem i pomóc. Upadł nie po raz pierwszy, nie wolno było dopuścić do tego, by leżał całą noc na chórze! - ksiądz zszedł po stopniach. - To moja wina, nie sprawdziłem wczoraj, czy nic mu się nie stało. Zawsze gasi prawie wszystkie światła, a potem brnie po omacku przez ciemny kościół. Oszczędza pieniądze dla parafii, tak mu się wydaje.

- Głupota, czy to choćby parę centów można w ten sposób zaoszczędzić? - burczała pani O'Reilly. - A kto teraz za niego wszystko zrobi, kiedy on będzie w szpitalu beczynnienie leżał?

- No, tym niech się już pani nie martwi. Może poszłaby pani na plebanię zaparzyć sobie herbatkę? - proboszcz usiadł z tyłu w karetkce, która zaraz pomknęła w stronę szpitala.

- Herbatkę! Wysyła mnie na herbatkę! Co się porobiło temu człowiekowi? Earlowi wybili dziurę w głowie, kto wie, czy nie zrobił tego tutejszy upiór, a on mnie wysyła na herbatkę!

Burcząc przemaszerowała obok Prentice'a i Trzech Detektywów i w końcu jednak udała się na plebanię.

- Zamordowany przez upiora? - zaciekał się Bob.

- Pani O'Reilly twierdzi z wielkim przekonaniem, że tu straszy - powiedział Fenton Prentice. - Zarzeka się, że widziała ducha poprzedniego proboszcza, który nie żyje już od trzech lat. Według niej, jego duch pokazuje się w kościele i na ulicy.

Pan Prentice ruszył z chłopcami w kierunku Wilshire Boulevard.

- Panie Prentice - spytał Bob - czy sądzi pan, że to może być ta sama zjawa: duch proboszcza i widmo, które nawiedza pańskie mieszkanie?

- Z pewnością nie! Ducha starego proboszcza rozpoznałbym od razu, jeśli naprawdę się ukazuje. Jak na razie tylko pani O'Reilly go widziała. Twierdzi, że upiór proboszcza

nocami chodzi dookoła kościoła ze świecą w ręce. Z jakiego powodu miałby to robić, zupełnie nie rozumiem. To był bardzo miły staruszek. Często grałem z nim w szachy. Snuć się po nocy w roli upiora? On zawsze przed dziesiątą był w łóżku.

Pan Prentice i chłopcy skręcili za rogiem w Wilshire Boulevard i poszli o parę przecznic dalej do niedużego klubu. Mosiężne klamki i inne okucia lśniły tam od wieloletniego pucowania, wykrochmalone obrusy przykrywały stoły, a goździki we flakonach nie były sztuczne. Na śniadanie za późna pora, na lunch za wczesna; w lokalu nie było nikogo prócz kelnera, kręcącego się przy drzwiach kuchennych.

- Panie Prentice - gdy zostali obsłużeni, Jupiter wrócił do sprawy - blok, w którym pan mieszka, wydaje się duży, ale nie widziałem tam wielu lokatorów. Jest pani Bortz...

Prentice skrzywił się.

- Pani Bortz - powtórzył Jupiter. - Oprócz niej Sonny Elmquist. Ten przesiaduje w domu w dziwnych porach.

- Pracuje od północy do rana w całodobowym supermarkecie przy Vermont - wyjaśnił Prentice. - To dziwna postać. Osobliwe, żeby dorosłego mężczyznę nazywać Sonny, czyli Synuś, jego prawdziwe imię to Cedric. Zajmuje najmniejsze mieszkanie w całym bloku. Nie sądzę, żeby dużo zarabiał. Wśród lokatorów jest ponadto młoda kobieta, nazywa się Chalmers, Gwen Chalmers. Sąsiaduje przez ścianę z Elmquistem. Jeszcze jej nie poznaliście. Pracuje jako handlowiec w domu towarowym w centrum. A pan Murphy jest maklerem giełdowym.

- To on mijał nas na schodach wczoraj wieczorem, już po odjeździe policji? - spytał Bob.

- Tak. Zajmuje narożny apartament w tylnej części bloku. Być może zobaczycie go jeszcze dzisiaj. Zawsze wcześnie wychodzi do biura, bo giełdę w Nowym Jorku otwierają rano, a różnica czasu pomiędzy wybrzeżem atlantyckim i Los Angeles wynosi trzy godziny. Dlatego też Murphy często wraca do domu już wczesnym popołudniem. Obecnie przebywa u niego siostrzeniec Harley Johnson, student. Domyślam się, że Murphy jest opiekunem Harleja. Następną osobą to Alex Hassell, facet od kotów.

- Facet od kotów? - powtórzył Pete.

- Tak go nazywam - uśmiechnął się Prentice. - Dokarmia koty. Codziennie koło piątej wszystkie bezpańskie koty z okolicy przychodzą do niego pod drzwi na wyzerkę. A u siebie w mieszkaniu ma jednego syjamskiego kocura.

- A co robi, kiedy nie jest zajęty dokarmianiem zwierząt? - spytał Pete.

- Pan Hassell nie pracuje. Żyje z kapitału, robi to, na co ma ochotę. Przypuszczam, że

spaceruje po mieście, wypatrując bezdomnych kotów do nakarmienia. Jeśli napotka chore lub zranione zwierzątko, niesie je do weterynarza.

- Kto jeszcze mieszka w pańskim bloku? - Jupiter chciał wiedzieć więcej.

- Jeszcze parę osób, które nie odznaczają się niczym szczególnym. Jest tam w sumie dwadzieścia mieszkań. Większość lokatorów to osoby samotne, na ogół pracujące. Prawie wszyscy wyjechali na święta do rodziny lub przyjaciół. W tej chwili na miejscu jest tylko sześć osób, a jeśli liczyć również Harleya, siostrzeńca pana Murphy'ego, to siedem.

- To bardzo skraca naszą listę podejrzanych - stwierdził Jupe.

- Myślisz, że ktoś z lokatorów nachodzi moje mieszkanie?

- Nie mogę być całkiem pewien, dopóki nie zdobędziemy więcej dowodów. Bardzo prawdopodobne jest jednak, że to ktoś, kto wie, kiedy pana nie ma. Jeżeli ta osoba widziała pana wychodzącego z nami dziś rano, być może wykorzystała okazję i właśnie grasuje w pańskim mieszkaniu.

- Może masz rację, Jupiterze - pokiwał głową Prentice. - Jeśli ktoś chciał pogrzebać w moim biurku tego ranka, rzeczywiście miał sporo czasu.

Prentice poprosił o rachunek i zapłacił. Wszyscy czterej wyszli z klubu i ruszyli ulicą Wilshire w kierunku Paseo Place. Koło kościoła było zupełnie pusto. Z mieszkania pani Bortz, tuż przy bramie na dziedziniec, dochodził szum lejącej się wody i brzęk zmywanych naczyń.

- Całe szczęście, że ta baba musi czasem coś zjeść - zauważył Prentice - bo inaczej ani na chwilę nie moglibyśmy uchronić się przed jej wścibstwem.

- Lubi we wszystko wtykać swój nos - roześmiał się Pete.

- Urodzona plotkara i intrygantka. Namolnie zadaje najbardziej niegrzeczne pytania. Posuwa się nawet do przeszukiwania koszy na śmieci. Nakryłem ją na tym parę razy. Zanim zresztą zobaczyłem to na własne oczy, byłem tego pewien. Bo skąd mogłaby wiedzieć, że panna Chalmers odgrzewa na kolację mrożonki, a pan Hassell co tydzień opróżnia dla bezpańskich kotów czterdzieści puszek whiskas?

Trzej Detektywi w ślad za Prentice'em dotarli do drzwi jego mieszkania na piętrze.

- Proszę niczego nie dotykać - ostrzegł Jupe, gdy Prentice przekręcił klucz w zamku. Chłopiec wyjął z kieszeni małą lupę i udał się do gabinetu Prentice'a. Uważnie oglądał przez szkło powiększające uchwyty przy szufladach biurka.

- Aha! - powiedział.

Prentice stanął w progu.

- Ktoś otwierał to biurko po naszym wyjściu z mieszkania - orzekł Jupe. - I były to



ręce zwykłego, żywego człowieka, które usmarowały się moją pastą.

Bob przyniósł z kuchni papierową ścierkę i Jupe wytarł do sucha uchwyty szuflad.

- Możemy zajrzeć do biurka? - spytał Prentice.

- Oczywiście.

- Czy czegoś brakuje? - Jupiter wysunął górną szufladę.

- Nigdy nic nie zginęło. Tym razem ktoś interesował się moim rachunkiem telefonicznym. Pamiętam, że ta koperta dziś rano była na samym spodzie.

- Koperta jest poplamiona pastą. Ktokolwiek tu grzebał, musiał sobie porządnie usmarować ręce - od Jupe'a aż było zadowolenie. Cofnął się do drzwi wejściowych i uważnie oglądał klamkę po wewnętrznej stronie.

- Tej klamki w ogóle nie smarowałem pastą - przypomniał - a teraz, proszę, jest umazana.

- Wiemy więc, jak ten nieproszony gość się ulotnił - powiedział Bob. - Po prostu otworzył drzwi i wyszedł.

- A potem jeszcze zamknął mieszkanie na klucz od zewnątrz - dodał Jupe. - O tym również świadczą ślady pasty. Tak. Ktoś ma drugi klucz.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Fenton Prentice. - Zainstalowałem tu specjalny zamek. Nikt nie może mieć do niego klucza!

- Ktoś jednak ma - upierał się Jupe.

Po ponownym zamknięciu drzwi wejściowych pan Prentice i chłopcy zabrali się do szukania dalszych śladów. Znaleźli plamki pasty na krawędzi lustra w łazience.

- Ten intruz zaglądał do pańskiej apteczki.

Prentice stęknął z oburzenia.

- No, przynajmniej jest pewien postęp - cieszył się Jupe.

- Postęp? - Prentice miał wątpliwości.

- Z pewnością - w głosie Jupitera brzmiało przekonanie. - Wiemy, że intruz, który pana nachodzi, nie potrafi wysunąć szuflady bez umazania sobie palców. Wiemy, że dziś rano opuścił to mieszkanie najzwyczajszą drogą, otwierając drzwi. Teraz siądziemy sobie nad wodą, będziemy obserwować i niebawem rozpoznamy pańskiego nieproszonego gościa.

- A jeśli to nie jest nikt z lokatorów tego domu? - spytał Prentice.

- Jestem pewien, że to ktoś stąd. Ktoś, kto widział nas rano, kiedy wychodziliśmy.

Chłopcy zostawili Prentice'a i zbiegli na dół. Siedli na fotelach koło basenu i czekali.

- To osobliwy basen - zauważył Pete po chwili.

Bob przykucnął na krawędzi i wpatrywał się w przejrzystą wodę. Dno zbiornika

pokrywały niebieskie i złote kafelki, zestawione w nieregularne wzory.

- Ale szpan. Przypomina mi to kryty basen w pałacu Hearsta w San Simeon. Podgrzewana - oświadczył Bob, umoczywszy rękę w wodzie.

Rozległy się kroki na bruku, przez uchyloną bramę wejściową wbiegł szary kot, a za nim ukazał się rudawy mężczyzna w białym swetrze i marynarce koloru wielbłądziej sierści. Nie okazał zainteresowania na widok chłopców i wszedł do mieszkania w końcu bloku. Kot zatrzymał się pod samymi drzwiami. Po chwili mężczyzna pojawił się ponownie, z pełną miską, którą postawił na ziemi. Kot rzucił się łapczywie na jedzenie, a rudzielec przykucnął obok i przyglądał mu się.

- Hassell - wyszeptał Bob. - Kiedy tu przyjechaliśmy wczoraj wieczorem, on akurat wychodził.

- Musiał znaleźć jakąś nową kocią łazęgę - komentował Pete. - Taką, co to nie wie, że kolację podaje się o piątej.

Kot zjadł wszystko i powędrował przed siebie. Hassell zabrał wylizaną miskę do mieszkania.

Znowu rozległy się kroki i na dziedziniec wszedł krzepki mężczyzna w średnim wieku. Był to Murphy. Palił papierosa. Z uśmiechem skinął głową chłopcom i skierował się do swojego apartamentu, obok mieszkania Hassella. Zanim sięgnął do klamki, drzwi otworzyły się i stanął w nich naburmuszony chłopak, który wyglądał na prawie dwadzieścia lat.

- Wujku Johnie, nie możesz wytrzymać paru sekund bez papierosa?

- Nie gderaj, Harley. Miałem ciężki dzień. Gdzie moja popielniczka?

- Wymyłem ją i położyłem koło basenu. Wszędzie tu śmierdzi papierosami.

Murphy odwrócił się i podszedł do stołu w pobliżu chłopców. Opadł na krzesło, strzepnął papierosa do wielkiej miskowatej popielnicy, umieszczonej na stole i zaciągnął się głęboko.

- Mam nadzieję, chłopcy, że trochę łaskawiej traktujecie własnych rodziców.

- Moi rodzice nie palą - oświadczył Pete.

- Ja chyba też nie powinienem palić - przyznał Murphy. - No, ale przynajmniej jestem uważny. Nie wypalam w niczym dziur. Drugą taką popielniczkę mam w biurze. Nawet jak zapomnę o papierosie i dopala się sam, nie może z niej wypaść.

Starannie zgasił niedopałek, wstał i poniosł popielniczkę do mieszkania.

- Ciekawe, czy Elmquist jest w domu - powiedział Pete, patrząc w okna po drugiej stronie basenu. - Zaciągnął zasłony. Gdybyśmy tak zadzwonili do jego drzwi i...

- Zaczekaj! - Jupiter Jones wyprostował się nagle.

Pani Bortz ukazała się na dziedzińcu. Wycierała ręce w jakąś szmatę.

- Dzieciom nie wolno przebywać nad basenem bez opieki dorosłych gderała.

Jupiter nie miał zamiaru odpowiadać, ale wstał i podszedł do niej.

- Pani Bortz, czy może mi pani pokazać ręce?

- Co takiego?

- Pani ręce, pani Bortz! - powtórzył Jupe głośniej.

Na piętrze otworzyły się drzwi i pan Prentice ukazał się na galerii.

- Pani ma czarne plamy na dłoniach! - zawołał Jupiter.

Fenton Prentice ruszył schodami w dół.

- Że co... tak, rzeczywiście. Musiałam się czymś umazać w kuchni.

- Była pani w mieszkaniu pana Prentice'a - powiedział surowo Jupiter. - Otworzyła pani jego biurko, przeglądała listy, a nawet grzebała w apteczce. Jak szpicel!

## Rozdział 6

### Tajemnica mandali

Pierwszy raz w życiu pani Bortz zapomniała języka w gębie. Stała gapiąc się na Jupitera, a jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

- Nic nie pomoże ścierka - usłyszała od Jupe'a. - Te plamy i tak nie zejną.

- Muszę z panią zamienić parę słów, pani Bortz - powiedział podchodząc Prentice. Jego głos sprawił, że pani Bortz odzyskała zmysły.

- Czy pan wie, jak te okropne chłopaczyska mnie nazwały?

- Wiem. I mają całkowitą rację! Ale to nie musi obchodzić wszystkich mieszkańców bloku - Prentice zrobił krok w kierunku mieszkania gospodyni. - Porozmawiajmy o tym na osobności.

- Ale... ale ja jestem zajęta. Mam... mam pełno roboty, jak pan wie.

- No jasne, że pani ma pełno roboty. A do czego najpierw się pani zabierze? Do przeszukiwania koszy na śmieci tu na podwórku, czy może zrobi pani rewizję w czyimś mieszkaniu? Może jednak porozmawiamy, pani Bortz. Czy woli pani, żebym zadzwonił po mojego prawnika?

Pani Bortz sapiała wściekła, ruszyła jednak w stronę swojego mieszkania.

- Myślę, że załatwię to sam, będę jednak wdzięczny, jeśli na mnie zaczekacie - Prentice uśmiechnął się do Trzech Detektywów i podążył za gospodynią.

Jupe, Pete i Bob pozostali na dziedzińcu i przez parę minut nic nie mówili. Słyszeli podniesiony głos rozjuszonej kobiety, ale nie mogli rozróżnić poszczególnych słów. Niekiedy pani Bortz milkła i wtedy chłopcy wyobrażali sobie, jak Fenton Prentice cichym głosem wygarnia wszystko tej jędzy, może nawet jej grozi.

- To miły, starszy jegomość - zauważył Pete - ale potrafi być twardy, jeśli ktoś mu nadepnie na odcisk.

Po przeciwnej stronie basenu otworzyły się drzwi i stanął w nich bosy Sonny Elmquist, mrużąc oczy w słońcu. Miał na sobie postrzępione džinsy i koszulę, u której brakowało paru guzików. Ziewnął.

- Dzień dobry - pozdrowił go Jupiter.

Elmquist przetarł oczy. Chyba się nie mył, pomyśleli chłopcy, a już na pewno nie miał grzebienia w ręce.

- Hm! - odpowiedział. Zbliżył się prawie kuśtykając. Mieli wrażenie, że nie może się

zdecydować, czy usiąść na krześle koło nich, czy stać i gapić się tępo w wodę basenu.

W końcu wybrał trzecią możliwość: usiadł na kamiennych płytach, krzyżując nogi i wsuwając stopy pod uda. Jupiter rozpoznał pozycję lotosu, sposób siadania typowy dla adeptów jogi.

- Dzień dobry - powtórzył Jupe.

Elmqvist zwrócił bladą twarz ku Jupiterowi i przypatrywał mu się przez chwilę. Jego oczy nie miały określonego koloru. Białka były przekrwione, chyba z niewyspania.

- Czy to jeszcze przedpołudnie? - spytał.

- Już nie - Jupe popatrzył na zegarek. - Minęła pierwsza.

Sonny Elmquist ziewnął ponownie.

- Fenton Prentice powiedział mi, że pracuje pan w sklepie całodobowym przy Vermont.

Elmqvist nieco oprzytomniał. Uśmiechnął się.

- Tak, pracuję od północy do rana. Czasami jest ciężko na tej zmianie, ale też najlepiej płacą. A kiedy nie ma ruchu, mogę się uczyć.

- Chodzi pan do szkoły?

- Eee, dawno już z tym skończyłem - Sonny Elmquist machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że szkoła to zupełna strata czasu. - Ojczulo chciał, żebym poszedł na studia, żebym został dentystą tak jak on. Nie miałem na to żadnej ochoty. Cały dzień stać na nogach i grzebać w czyichś dziurawych zębach. I jeszcze grzbiet boli od tego nachylania się. I po co? Tak czy owak, to złudzenie.

- Złudzenie? - zdziwił się Pete.

- Tak. Wszystko jest złudzeniem. Cały świat. Wszyscy jesteśmy jak pogrążeni we śnie i mamy złe sny. Ale ja zamierzam się przebudzić.

- Czego pan się uczy? - spytał Jupe.

- Medytacji. To droga do zdobycia Najwyższej Świadomości - wyprostował nogi i wstał. Wyglądał na zadowolonego, że ma audytorium. - zbieram pieniądze na wyjazd do Indii. Chcę odnaleźć guru. Tam są najlepsi nauczyciele. Dlatego właśnie pracuję na nocnej zmianie, żeby zdobyć więcej pieniędzy. Już niedługo będzie mnie stać na podróż i pobyt w Indiach, przez trzy albo cztery lata. Albo ile będzie trzeba, by poznać... by naprawdę poznać wszystko. Nie chodzi mi wcale o tak zwaną wiedzę naukową, bo to jest zupełnie bezużyteczne. Ja chcę wiedzieć, jak pozbyć się potrzeb. Jak nie chcieć niczego. To jedyna wartościowa rzecz, nie sądzicie?

- No, tak... - Bob nie był przekonany - przypuszczam, że jeśli niczego się nie pragnie...

jeśli ma się wszystko...

- Nie, nie. Nie rozumiecie! - wykrzyknął Elmquist.

- Nie jestem pewien, czy mam ochotę to zrozumieć! - mruknął Pete.

- To bardzo proste. Pragnienia... Od tego, że ludzie chcą mieć różne rzeczy, zaczynają się wszelkie kłopoty. Na przykład stary Prentice: on się tylko martwi o to, co posiada, czyli o te swoje zbiory. W następnym życiu będzie pewnie... chomikiem!

- No, no! - wykrzyknął Pete. - To bardzo porządny gość.

- Nie twierdzą wcale, że on kogokolwiek okradł czy skrzywdził, żeby te rzeczy zdobyć, ale tak się troszczy o to, co ma i ciągle chce mieć więcej. Nigdy nie zrozumie, że goni za czymś, co nie jest rzeczywiste. Czy dacie wiarę, że on ma mandalę i nawet nie wie, jak jej używać? Po prostu powiesił ją na ścianie, jakby to był jeszcze jeden obraz.

- Co to jest mandala?

Elmquist popędził do swojego mieszkania i wrócił po chwili z małą książeczką.

- Chciałbym mieć mandalę - westchnął. - To coś jak plan kosmosu. Medytacja z mandalą sprawia, że wszystkie złudzenia powszedniego życia bledną i człowiek jednoczy się z wszechświatem.

Otworzył książkę i pokazał chłopcom kolorowy rysunek zachodzących na siebie trójkątów, które były wpisane w koło. Koło z kolei mieściło się w kwadracie.

- Nie widziałem niczego podobnego w mieszkaniu pana Prentice'a, a przynajmniej tego nie pamiętam - powiedział Pete.

- Jego mandala jest bardziej skomplikowana - wyjaśnił Elmquist - bo pochodzi z Tybetu. Są na niej pokazane stare bóstwa czczone w tej krainie.

- Będę miał swoją mandalę - Elmquist zamknął książeczkę - niedługo nadejdzie ten dzień, Guru ją dla mnie obmyśli. Na razie używam po prostu telewizora.

- Co? - wykrzyknął Bob,

- Telewizora - powtórzył Elmquist. - Pomaga mi się oderwać. To znaczy, kiedy wracam po całej nocy spędzonej na podliczaniu czyichś zakupów, po tym ciągłym sprawdzaniu, czy czytnik wszystko rejestruje, mam mętlik w głowie. Włączam więc telewizor, ale zupełnie bez fonii, rozumiecie? Potem wpatruję się w jedno miejsce na środku ekranu lub w kąciku. W ogóle nie obchodzi mnie, co pokazują, widzę tylko kolorowe plamy. Bardzo szybko zupełnie zapominam o sklepie, o wszystkim. Jakbym zniknął z tego miejsca.

- Zasypia pan - bezceremonialnie rzucił Bob.

Elmquist wyglądał na nieco zmieszanego.

- To... tak to jest z medytacją - przyznał. - Czasem tak bardzo się wyciszam, że

zasypiam i śnię, tylko...

Urwał. Pan Prentice wyszedł z mieszkania pani Bortz i zatrzymał się przy schodach, spoglądając w stronę Trzech Detektywów.

- Przepraszam - Jupiter zwrócił się do Elmquista. - Musimy iść.

- Wpadnijcie kiedyś, jak będę w domu - zachęcał Elmquist. - Kiedy nie będę akurat zajęty medytacją, znaczy się. Chętnie powiem wam więcej o mandali i o... o podróży, którą mam w planie.

Chłopcy podziękowali mu i poszli do Prentice'a.

Kiedy byli już w jego mieszkaniu, stary dżentelmen zagłębił się w jednym ze swoich wielkich foteli.

- Pani Bortz miała klucz do tego mieszkania, prawda? - zapytał pośpiesznie Jupe.

- Tak, nie myliłeś się twierdząc od początku, że tu musi być drugi klucz. To wredne babsko! W umowie najmu mam zastrzeżenie, że gospodarz bloku nigdy nie ma wstępu do mojego mieszkania. Muszę się w tej sprawie skontaktować z firmą Martin Company, która jest właścicielem budynku.

- Jak zdobyła klucz? - spytał Bob.

- Bardzo łatwo. Kiedy wyjechałem do Europy dwa miesiące temu, wezwała ślusarza, który wykonuje tu różne naprawy. Nie przyszłoby mu do głowy pytać, czy ona ma prawo, to przecież gospodyni obiektu. Powiedziała, że zgubiła klucz do zamka, a musi wejść do tego mieszkania, by sprawdzić cieknącą rurę. Zdjął zamek, dorobił klucz i wmontował zamek z powrotem.

- To osobliwa kobieta - stwierdził Jupe.

- Osobliwa - zgodził się Fenton Prentice. - To już wygląda na manię. Tak więc tajemnica została rozwiązana: wiadomo, kto grzebał w moim biurku i szperał w moich papierach. Naturalnie odebrałem jej klucz. Jestem wam niezmiernie wdzięczny, młodzi ludzie.

- Wiecie co - uśmiechnął się lekko Prentice - to dla mnie prawdziwa ulga, że po prostu pani Bortz bywała moim nieproszonym gościem. To znaczy, że nachodził mnie realny, żywy człowiek. Myślę, że musiałem sobie uroić tę obecność widma. Naprawdę, przecież to śmieszne! Tak mnie męczyła myśl, że ktoś wdziera się do mojego domu, chyba musiało mi się trochę pomieszać od tego w głowie! Może zasugerowałem się tymi opowieściami pani O'Reilly o duchu proboszcza, - Prentice pokręcił głową, jakby sam się dziwił, że mógł być taki niemądry.

Jupe przygryzał dolną wargę, co sygnalizowało, że intensywnie myśli.

- Dobrze, więc to jest wyjaśnione - powiedział w końcu z uśmiechem. - Cieszymy się, że mogliśmy się przydać - wstał, zbierając się do wyjścia. - Panie Prentice, chciałbym zapytać, czy pan ma mandalę?

- Mandalę? Tak, mam. Skąd wiesz? Chcesz ją zobaczyć?

Jupe skinął potakująco, a Prentice poprowadził go do gabinetu i wskazał na oprawiony malunek, wiszący na ścianie ponad biurkiem. Był skomplikowany i jaśniał jaskrawymi kolorami. Krąg zdobiony ślimacznicami opasywał kwadrat. W czterech rogach widniały orientalne bóstwa lub demony. W środku trójkąty zachodziły jeden na drugi, a wpisane w nie kółeczka zawierały wyobrażenia jakichś małych stworzeń.

- Należała kiedyś do młodego artysty, którego znałem. Podróżował do Tybetu. I tam właśnie, specjalnie dla niego, wykonano tę mandalę. To było dawno. On już nie żyje od wielu lat. Kupiłem to na wyprzedazy majątku, który pozostawił. Zawsze podziwiałem tę ładną kompozycję, ale niewiele wiem o religiach Wschodu.

- Panie Prentice, czy Sonny Elmquist był kiedykolwiek w tym mieszkaniu? - spytał Jupiter Jones.

- Z pewnością nie. Z wyjątkiem wścibskiej babska, które zarządza budynkiem, nikt z mieszkańców tego bloku nie wchodził do mojego mieszkania. Cenię sobie prywatność, jak wiecie. Młody Elmquist jest ostatnią osobą, którą mógłbym tu zaprosić. Pełno ma w głowie jakichś niedowarzonych pomysłów, a schludność nie jest jego cechą.

- Raczej nie jest - zgodził się Jupe. - Może pan oddawał tę mandalę do renowacji? Nie oprawiał jej pan ostatnio?

- Nie, jest tu już ponad piętnaście lat. Była zdejmowana ze ściany tylko na czas malowania lokalu. A dlaczego pytasz?

- Jak Sonny Elmquist mógł się dowiedzieć, że pan ma mandalę?

- A on wie o tym?

- Wie. Wie nawet, że to jest mandala tybetańska. Ma książkę z trochę podobnym rysunkiem, tyle że o wiele prostszym.

- Mogę tylko zgadywać - wzruszył ramionami Prentice - że któraś z tych irytujących gazet zamieściła wzmiankę, iż posiadam mandalę w swoich zbiorach. Moi przyjaciele z kręgów artystycznych wiedzą o tym.

Jupe pokiwał głową i skierował się do drzwi.

- Jupiterze - napomniął jowialnie Prentice - nie szukaj tu następnej tajemnicy. Ta jedna zupełnie wystarczy!

- Ma pan rację - zgodził się Jupe. - I cieszę się, że mogliśmy ją dla pana wyjaśnić.



Gdyby były jakiegokolwiek problemy w przyszłości, proszę nas wzywać bez wahania.

- Oczywiście, chłopcy - pan Prentice uściskał detektywom ręce i odprowadził ich na galerię.

- A więc to tak! - wykrzyknął Pete, kiedy szli już w stronę przystanku autobusowego.

- Ze wszystkich spraw, jakie mieliśmy do tej pory, z tą poradziliśmy sobie chyba najszybciej! I co będziemy robić do końca ferii świątecznych?

- Lepiej trzymaj się z dala od składu złomu Jonesów - odpalił Bob. - Ciotka Matylda ma wielką ochotę wypełnić nam cały wolny czas! To cię teraz czeka, Jupe!

- Mmmnpf - potwierdził Jupe, myślami był jednak gdzie indziej i przez całą drogę powrotną do Rocky Beach powiedział może ze trzy słowa.

- Chłopaki, bądźcie pod telefonem - poprosił nagle, kiedy zegnali się koło składu złomu. Detektywi mogą mieć niedługo zajęcie. Nie sądzę, żebyśmy rozstali się na dobre z Fentonem Prentice'em!

Uśmiechnął się tajemniczo i pomachał im na do widzenia.

## Rozdział 7

### Światło w kościele

Ciotka Matylda zaczęła gderać natychmiast, gdy tylko zobaczyła wchodzącego Jupitera.

- Ulotniłeś się rano bez słowa! Karteczka na poduszce to zupełnie co innego niż ustna informacja, gdzie będziesz! Jupiterze, ja miałam plany...

- Po Bożym Narodzeniu jest zawsze marny ruch w składzie. A teraz już jestem wolny. Mogę pracować przez resztę dnia.

- Już ja tego przypilnuję - burknęła ciotka Matylda. - Twój wuj właśnie przywiózł całą górę drobnego sprzętu. Posortuj to, zobacz, co działa, a co nadaje się do naprawy. Przypuszczam, że w końcu i tak kupisz połowę rzeczy dla siebie.

Jupiter uśmiechnął się. Nieustannie przekopywał złomowisko w poszukiwaniu przedmiotów, które mogły się przydać do konstruowania aparatury detektywistycznej. Kwatera Główna w starej przyczepie kempingowej pełna była urządzeń, które wyreperował lub zbudował ze starych części: walkie-talkie, głośniki do telefonu, magnetofon, peryskop i wiele innych. Większość zarobionych w tym składzie pieniędzy Jupe wydawał od razu na miejscu na zakupy.

Przez resztę popołudnia Jupe z zapalem sortował ostatni transport wuja, odkładając na bok parę rzeczy, które, jak przypuszczał, mogłyby się przydać. O szóstej poszedł do domu Jonesów po przeciwnej stronie ulicy na kolację. Godzinę później zadzwonił telefon.

- To do ciebie, Jupiter - ciotka Matylda podała mu słuchawkę.

Oczy Jupe'a błysnęły, gdy usłyszał pierwsze słowa.

- To ty, Jupiter? - pytał drżący głos. - Mówi Fenton Prentice. Jupiter, nie uwierzysz mi, ale... ale znowu ktoś tu wchodzi do mojego mieszkania!

- Tak - odpowiedział spokojnie Jupe.

- Kiedy przyłapałeś tę babę Bortz, byłem pewien, że duch to tylko moja wyobraźnia - ciągnął Prentice. - A jednak nie! Właśnie widziałem go znowu, w moim gabinecie! Albo tracę rozum, albo tu naprawdę straszysz!

- Czy chciałby pan, żebyśmy przyjechali jeszcze dzisiaj wieczorem?

- Proszę. Prawdę mówiąc, byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś, razem ze swoimi przyjaciółmi, został u mnie na noc. Zwykle nie zależy mi na towarzystwie, ale... nie mogę tu być sam! Siedzę i zastanawiam się, kiedy to coś pojawi się znowu. Nie, nie mogę tego

wytrzymać!

- Będziemy u pana najszybciej, jak się da - obiecał Jupiter.

- Jupiter, czy ty zawsze musisz gdzieś pędzić? - jęknęła ciotka Matylda, gdy tylko odłożył słuchawkę. Kiedy jednak opowiedział krótko o starszym, wystraszonego kliencie detektywów, pani Jones nabrała współczucia.

- Biedna dusza! Wystarczająco ciężko jest być starym, a tu jeszcze na dokładkę w samotności. Zostańcie z nim, jak długo będzie chciał. Wujek zawiezie was do miasta.

Jupe zadzwonił po Pete'a i Boba i niedługo potem wszyscy trzej zajęli miejsca w tyle furgonetki wuja Tytusa i pomknęli do Los Angeles.

- No, Jupe, znowu ci się udało - stwierdził Pete, sadowiac się wygodnie. - Skąd wiedziałeś, że Prentice się odezwie?

- Byłem pewien, że ta zjawa nie jest wytworem jego wyobraźni. Sam ją widziałem.

- Ty widziałeś? - wykrzyknął Bob. - Kiedy?

- Wczoraj, w gabinecie pana Prentice'a. Kogoś tam zobaczyłem. Najpierw myślałem, że to Pete, on jednak był za ścianą, w dużym pokoju.

- Pamiętam - potwierdził Pete. - Ale uznałeś, że to złudzenie, panował tam półmrok.

- Wówczas wydawało się to jedynym logicznym wytłumaczeniem. Później nie byłem już tego pewien. Gdy tylko zobaczyłem Sonny'ego Elmquista...

- Aż podskoczyłeś - przypomniał sobie Bob. - Elmquist wyszedł ze swojego mieszkania po przybyciu policji, a ty aż podskoczyłeś na jego widok.

- Tak. Zauważyłeś, że on przypomina Pete'a?

- No, no! - zaprotestował Pete. - Nie jestem ani trochę podobny do tego faceta. On ma co najmniej dwadzieścia lat, jest chudy i...

- Jest mniej więcej twojego wzrostu - przerwał Jupiter - ciemnowłosey tak jak i ty, wczoraj wieczorem miał na sobie czarny sweter, a ty - marynarkę podobnego koloru. W gabinecie panował półmrok. Myślałem, że widzę ciebie. Czyż nie jest możliwe, że widziałem Sonny'ego Elmquista?

Bob i Pete siedzieli nieruchomo, zamyśleni.

- Ale jak on mógł tam wejść? - odezwał się w końcu Bob. - Drzwi były zamknięte na klucz.

- Nie wiem - przyznał Jupe. - Nie wiem nawet, czy widziałem akurat Elmquista. Ale ktoś jeszcze oprócz pani Bortz wchodzi do tego mieszkania. Teraz musimy to wyjaśnić.

Nie minęła godzina od telefonu pana Prentice'a, gdy chłopcy stanęli ponownie pod drzwiami jego mieszkania.

- Całe szczęście, że przyjechaliście - powitał ich gospodarz. - Jestem zupełnie roztrzęsiony!

- To zrozumiałe - uspokajał go Jupe. - Czy możemy się rozejrzeć?

Prentice kiwnął głową, a Jupe pobiegł prosto do jego gabinetu. Lampa na biurku rzucała łagodne światło na kąt pokoju. Złociły się tam tytuły na grzbietach bogato oprawnych książek, połyskiwało parę porcelanowych naczyń i kolorowe pola mandali na ścianie. Jupe wpatrzył się w jej pogmatwany rysunek, marszcząc czoło i wydymając wargi.

I znowu, tak jak poprzedniego wieczoru, doznał wrażenia czyjejś bezgłośniejszej obecności. Ktoś stoi obok i go obserwuje!

Jupe obrócił się.

W przeciwnym, ciemnym kącie pokoju pulsuje sylwetka usnuta z głębszej ciemności, potem rozplywa się.

Jupe skoczył w ten kąt. Wyciągnął ręce. Nic, nic, tylko ściana. Włączył górne światło i rozglądał się gorączkowo. Nie było nikogo.

Rzucił się do drzwi wejściowych, ku zdumieniu kolegów oraz Prentice'a, i wybiegł na galerię.

Poniżej, na dziedzińcu, basen mienił się błękitem i złotem, a lampy rzucały bursztynowe promienie na ściany budynku. Jupe widział odsłonięte okna mieszkania Sonny'ego Elmquista. Jasny, zmienny poblask świadczył o włączonym telewizorze. Jupe dostrzegł Elmquista, siedzącego nieruchomo na podłodze, z głową lekko pochyloną do przodu, jakby w ukłonie.

- Co się stało? - wyszeptał z tyłu Bob.

- Widziałem go znowu - wymamrotał Jupe. Stwierdził, że drży i wytłumaczył sobie, iż to z powodu wieczornego chłodu. - Widziałem go w gabinecie. Patrzyłem na mandalę i wtedy wyczułem czyjąś obecność. Mógłbym przysiąc, że to Sonny Elmquist. Ale to niemożliwe. Patrz, on tam jest u siebie. Nawet gdyby było jakieś ukryte przejście do mieszkania pana Prentice'a, nie zdołałby tak szybko wrócić. Wykluczone.

Jupe spojrział przez ramię. W drzwiach mieszkania stał pan Prentice.

- Widziałeś go - spytał - prawda? Widziałeś go, a więc jeszcze nie zwariowałem.

- Nie, nie zwariował pan - powiedział Jupiter. - Widziałem go również wczoraj, ale nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Czy pan również rozpoznaje w nim Sonny'ego Elmquista?

- Nie jestem pewien. Ta... sylwetka zawsze tak szybko znika. Łatwo rzucać oskarżenia. Myślę jednak, że to Elmquist.

- Ale jakim sposobem? - łamał sobie głowę Jupe. - Za pierwszym i drugim razem, kiedy widziałem zjawę, Elmquist przebywał w swoim własnym mieszkaniu. Wyglądało na to, że śpi. Jakim cudem może być w dwu miejscach naraz? Panie Prentice, co wiadomo o tym człowieku?

- Bardzo mało. Mieszka tu najwyżej pół roku.

- A zanim Elmquist się tu wprowadził, zdarzyło się panu widzieć jakieś zjawy?

- Nie - odpowiedział Prentice po chwili namysłu. - To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

- Interesuje go pańska mandala. Na pewno nigdy pan mu o niej nie wspominał?

- Z pewnością nie. Ten młodzieniec nie ma specjalnie miłej osobowości. Unikam go. Panna Chalmers wspominała mi o nim czasami. To towarzyska, młoda kobieta, ale jej również Elmquist nie pociąga. Panna Chalmers pływa co wieczór, ma nadzieję zrzucić parę kilogramów. On wtedy wychodzi, siada nad brzegiem basenu i usiłuje wciągnąć ją w pogawędkę. Według panny Chalmers on jest "obślizgły".

- Wiem, że to wygląda na niemożliwe, ale tu musi być jakieś tajne przejście - zawyrokował Bob.

- To nieprawdopodobne - nie zgodził się Jupe - ale możemy się upewnić.

Chłopcy zaczęli więc poszukiwania, najpierw w gabinecie. Nic jednak nie znaleźli. Blok mieszkalny, choć nienowoczesny, był w dobrym stanie, ściany, sufity i podłogi miały solidne i nietknięte. Do środka można było wejść jedynie drzwiami.

- A więc w tym domu straszy - stwierdził Bob.

- Mieszkam tu od lat - kiwał głową Prentice - i lubię to miejsce, ale może będę musiał poszukać innego. Nie mogę znieść tego uczucia, tych wizyt.

Widmo nie straszło już tego wieczoru. Prentice poczuł się zmęczony i poszedł do sypialni. Chłopcy postanowili czuwać na zmianę. Bob ułożył się na sofie w salonie, a Pete drzemał na kanapie w gabinecie.

Jupe, który wybrał sobie pierwszą wachtę, usiadł tyłem do drzwi wejściowych i nasłuchiwał.

Po jedenastej niewiele dochodziło dźwięków. Ruch na ulicy zamarł już chyba zupełnie, Paseo Place nie było żadną ważną arterią. Jupe zastanawiał się chwilę nad cichym pluskaniem wody i doszedł do wniosku, że to pewnie panna Chalmers pływa w basenie mimo chłodu.

- Jupe? - Pete ukazał się w drzwiach gabinetu. - Chodź no tutaj! Chcę, żebyś coś zobaczył.

Jupe podszedł za nim do okna.

- W kościele się świeci - Pete wskazał na najbliższy witraż. Małe szybki kolorowo filtrowały światło, a po chwili zagasły.

- Może proboszcz sprawdza, czy wszystko pozamykane - zastanawiał się Jupe. - Tylko...

- Tylko co? - spytał Pete.

- Może to nie proboszcz. Pójdę sprawdzić.

- Idę z tobą.

- Nie. Zostań tutaj i pilnuj drzwi - rozkazał Jupiter. Zaraz wrócę.

Jupe porwał marynarkę z wieszaka przy wyjściu, przekręcił klucz i wyszedł na galerię. Lampy na dziedzińcu były już pogaszone, a basen pusty. Jupe zadrzał i zbiegł po schodach.

Kiedy znalazł się na ulicy, witraż w kościelnym oknie znowu błysnął tajemniczo. Jupe wszedł na kamienne stopnie i zbliżył się do kościelnych wierzei. Były lekko uchylone.

Wsunął się do mrocznego wnętrza. W głębi ktoś ubrany na czarno trzymał zapaloną świecę. Płomień przechylał się i prostował, szarpany przeciągiem.

Człowiek ze świecą obrócił się. Miał bardzo białą twarz, Jupiter zdurniał się, że tak białą, i śnieżnobiałe włosy. Oczu nie było widać, zdawały się ukryte w ciemnych głębiach oczodołów. Powyżej czarnego stroju, na szyi, jaśniało coś jakby księża koloratka.

Mężczyzna poprzez płomień świecy patrzył w milczeniu na Jupitera Jonesa.

- Bardzo księdza przepraszam. Zobaczyłem światło w oknach i chciałem się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Mężczyzna szybkim ruchem ręki zgasił świecę.

- Proszę księdza? - krzyknął Jupe.

W kościele zrobiło się zupełnie ciemno. Jupe poczuł, jak strach ściska go za gardło. Zrobił krok do tyłu, w stronę wyjścia. Drzwi zatrzasnęły się, chyba szarpnięte przeciągiem.

Nagle ktoś pchnął Jupitera! Jupe zachwiał się i uderzył butem w klęcznik. Ponownie popchnięty przedzierał się na czworakach pomiędzy dwiema ławkami.

Usłyszał, jak drzwi kościoła otwierają się, potem zatrząskują i ktoś przekręca klucz w zamku.

Jupe podniósł się na nogi i po omacku ruszył ku drzwiom. Odnalazł klamkę, nacisnął i pchnął.

Drzwi zagrzechotały, ale nie ustąpiły.

Jupiter był uwięziony!

## Rozdział 8

### Znikający święty

Jupe wymacał na ścianie obok drzwi wyłącznik. Przycisnął. Zapaliły się światła pod sklepieniem.

Rzucając szybkie, nerwowe spojrzenia na prawo i lewo, Jupe wolnym krokiem ruszył od drzwi. Przeszedł w głąb nawy do miejsca, gdzie moment wcześniej widział bladego księdza z zapaloną świecą.

Teraz nikogo tam nie było.

Jupe błyskawicznie obszedł cały kościół. Po lewej stronie ołtarza małe drzwi prowadziły do niewielkiej zakrystii z komodami, których szuflady wypełniały obrusy oraz szaty i naczynia liturgiczne. Po przeciwnej stronie również znajdowały się drzwi, najprawdopodobniej wiodące na zewnątrz. Były zamknięte na głucho.

- No, pora podnieść wrzask - stwierdził Jupe i cofnął się do głównego wejścia. - Ratunku! - krzyczał i tłukł pięściami w masywne wierzaje. - Zamknięto mnie w środku! Na pomoc!

Przerwał, nasłuchiwał przez chwilę i znowu zaczął walić w drzwi.

- Pete! Księżę McGovern! Pomocy!

- Chyba nie wybiera się ksiądz do środka! - sprzed kościoła dobiegło do Jupe'a wołanie kobiety.

- Skądże, pani O'Reilly! - Jupe rozpoznał głos księdza McGoverna. - Nie będę taki głupi. Lada minuta przyjedzie policja i...

- Księżę McGovern! - krzyknął Jupe. - Tu Jupiter Jones! Ktoś mnie tu zamknął!

- Jupiter Jones? - spytał ksiądz ze zdumieniem w głosie.

Jupe usłyszał syrenę samochodu policyjnego. Radiowóz nadjeżdżał od strony Wilshire. Chłopiec oparł się plecami o drzwi i patrzył w głąb nawy. Proboszcz nie otworzy kościoła przed przybyciem policji, to pewne. Jupe wiedział, że przesłuchanie na komisariacie może być nieprzyjemne. Spoglądał w stronę ołtarza i marszczył brwi. Syrena wyła coraz bliżej, a potem nagle zamilkła.

Klucz zgrzytnął w zamku, chwilę później drzwi się otworzyły. Za nimi ukazał się proboszcz w szlafroku i pani O'Reilly z warkoczem siwych włosów opuszczonym na plecy.

- Proszę odsunąć się na bok - zakomenderował z tyłu policjant. Był to młody funkcjonariusz, jeden z tych, którzy przeszukiwali kościół poprzedniego wieczoru. Jego

kolega miał w ręce pistolet.

- Więc? - zapytał krótko policjant.

- Zobaczyłem światło w kościele - wyjaśnił Jupe - wszedłem, żeby się przekonać, co to takiego. Wewnątrz, o tam, ujrzałem jakiegoś księdza. Wtedy ktoś przewrócił mnie na podłogę, a potem wybiegł i zamknął drzwi od zewnątrz.

- Wszedłeś, żeby to wyjaśnić? - powtórzył za Jupe'em drugi policjant.

- Przedtem byłem w mieszkaniu pana Prentice'a.

- Och, tak! - potwierdził ksiądz McGovern. - Byłeś z panem Prentice'em na ulicy dzisiaj rano. Ale nie mogłeś widzieć teraz księdza w kościele. Kościół jest zamknięty na klucz od szóstej. Mojego pomocnika nie ma. Nie mogłeś więc widzieć żadnego księdza w tym kościele.

- A właśnie że mógł! - zawołała pani O'Reilly. - Ksiądz wie, że mógł!

- Pani O'Reilly, świętej pamięci poprzedni proboszcz nie ukazuje się tu jako duch - oświadczył ksiądz McGovern.

- Chwileczkę! - krzyknął ktoś za plecami policjantów. Na chodniku pojawił się Pete, a za nim Fenton Prentice.

- Ten młody człowiek jest moim gościem - zakomunikował Prentice. - Nocuje u mnie wraz ze swoimi przyjaciółmi. A to jest Pete Crenshaw, który powiedział mi, że nie tak dawno temu obudził się i zobaczył w kościele światło. Zwrócił na to uwagę Jupiterowi, a ten wyszedł sprawę wyjaśnić.

Mundurowi patrzyli z dezaprobatą na chłopców i Prentice'a.

- Kiedy dzieciarnia bawi się w policjantów i złodziei, to już jest granda, a tu jeszcze dorosła osoba usiłuje usprawiedliwiać smarkaczy! - burczał stróż porządku.

Pan Prentice prychnął protestacyjnie.

- Ale w kościele naprawdę paliło się światło - zapewnił Pete.

- I ktoś tu był - dodał Jupe. - Mężczyzna ubrany na czarno, z białym kołnierzykiem, takim jaki nosi ksiądz, księżę McGovern. Miał siwe włosy. Stał tam i trzymał zapaloną świecę.

- Brednie - skrzywił się policjant. - I lepiej byłoby dla ciebie, synu, gdyby tu nic nie zginęło.

- Jednej rzeczy brakuje w kościele - odpowiedział Jupiter. - Brakuje czegoś, co było tu wczoraj wieczorem. O tam - wyciągnął rękę i popatrzył pytająco na proboszcza - tam stał posąg. W głębi nawy, obok okna. To był posąg kogoś w zielonej kapie i w wysokim, ostro zakończonym nakryciu głowy. Ta postać trzymała pastorał.



Dwaj policjanci patrzyli uważnie w stronę ołtarza.

- Do licha, on ma rację! - wykrzyknął młodszy. - Byłem tu wczoraj wieczorem i rzeczywiście, w tamtym miejscu stał posąg świętego Patryka, zdaje się. Czy to nie ten, który jest zawsze ubrany na zielono i ma tę biskupią czapkę, jak tam ona się nazywa?

- Mitra - odpowiedział cicho ksiądz McGovern. - Święty Patryk jest zawsze przedstawiany w mitrze i z pastorałem.

- No więc co się stało z tym posągiem? - spytał zdumiony policjant.

- W tym kościele nigdy nie było posągu świętego Patryka - oświadczył ksiądz McGovern. - To jest kościół Świętego Judy, patrona przedsięwzięć niemożliwych.

- Odpowiedni patron - stwierdził sarkastycznie policjant. - Gospodyni księdza widuje ducha starego proboszcza, którego pojawienie się jest niemożliwe, ten dzieciak tutaj widzi go również, co także jest niemożliwe, a my widzieliśmy wczoraj statuetkę, której tu nigdy nie było, a więc i to dotyczy spraw niemożliwych. Nie przypuszczam, by walała się tu gdzieś po kościele biskupia mitra?

- Rzeczywiście, wczoraj w kościele znajdowała się biskupia mitra i pastorał - przyznał zaskoczony ksiądz McGovern. - Mieliśmy jasełka. Na Boże Narodzenie, wiecie, panowie. Dzieci dawały przedstawienie - rodzice je oglądali. Tu w kościele, w takiej formie, jak to pokazywano jeszcze w średniowieczu. Najpierw stajenka, potem pokłon Trzech Króli, a na koniec pochód Ojców Kościoła i znaczniejszych świętych, ze świętym Patrykiem pomiędzy nimi, oczywiście. To nasza ulubiona postać. Mieliśmy dla niego mitrę, pastorał i zieloną kapę. Oddałem to wszystko dzisiaj do wypożyczalni kostiumów i rekwizytów.

- Aha! - wykrzyknął Jupiter Jones. - Więc teraz można odgadnąć, co się stało z włamywaczem!

- Eee? - zdumiał się jeden z policjantów.

- To doskonale logiczne - wyjaśnił Jupiter z pyszałkową miną.

- Wczoraj wieczorem tu wszędzie aż się roiło od policji, która poszukiwała sprawcy włamania dokonanego na sąsiedniej ulicy. Ten mężczyzna dał nura do kościoła. Ale kościół miał również być przeszukany. Złodziej nasadził więc sobie na głowę mitrę, na ramiona zarzucił zieloną kapę, w ręce ujął pastorał i zamienił się w posąg. Panowie policjanci poszukujący włamywacza może się tu nawet o niego otarli.

Policjanci milczeli zdumieni.

- Naturalnie, musiał być porządnie wystraszony, widząc, że kościelny schodzi z chóru - ciągnął Juve. - A kiedy kościelny powrócił do świątyni po zakończeniu przeszukania policyjnego, włamywacz był już zdesperowany. Nie miał wątpliwości, że kościelny zwróci

uwagę na nowy posąg, musiał go dostrzec, prawda? Księżę McGovern, czy kościelny pamięta jak to się stało, że tak się potłukł?

- Przypuszcza, że się potknął - proboszcz kręcił głową. - Przeżył ciężki wstrząs. Przechodzi terapię po szoku.

- Mógł zostać uderzony - powiedział Jupe. - Część świateł kościelny pogasił, ale mimo to włamywacz obawiał się pewnie, że zostanie dostrzeżony. Zaszedł kościelnego od tyłu i...

Ksiądz uniósł rękę, prosząc Jupitera, by przerwał.

- Powinienem być wrócić do kościoła razem z nim - westchnął. - Biedny Earl!

- No, piękny będziemy mieli raport do spisania - stęknął któryś z policjantów. - Aż strach pomyśleć. Włamywacz udający posąg! Nieletni widzący na własne oczy ducha!

- Widziałem mężczyznę w ciemnym stroju z białym kołnierzykiem - sprostował Jupe. - Nie powiedziałem, że zobaczyłem ducha.

- A jak zwykły człowiek mógłby się tu dostać? - włączyła się gospoia. - Drzwi były zamknięte na klucz. Przecież ksiądz McGovern mówił. To na pewno był ten stary proboszcz, nieszczęsna, niespokojna dusza!

- Musiał sobie drzwi otworzyć kluczem, bo kiedy wyszedł, zamknął kościół za sobą - stwierdził policjant. - Księżę McGovern, kto ma klucze do kościoła?

- Ja mam, oczywiście - wyliczał proboszcz - pani O'Reilly... mój pomocnik... Earl także. Przypuszczam, że te klucze są teraz z jego rzeczami w szpitalu. Mamy jeszcze zapasowy komplet na plebanii, na wypadek, gdyby ktoś zgubił swoje. Wisi na haku w garderobie, obok holu na parterze.

- Proszę księdza, a czy ten zapasowy komplet jest na swoim miejscu? - spytał Jupiter.

Ksiądz McGovern odwrócił się i poszedł do budynku obok kościoła. Wrócił po paru minutach.

- Nie ma kluczy na plebani! - powiedział.

Nikt się nie odezwał.

- To... to raczej głupie miejsce na trzymanie kluczy - przyznał proboszcz. - Tylu ludzi przychodzi na plebanię w różnych sprawach. Często korzystają z garderoby.

- Z tego, co ksiądz mówi, wynika - zmarszczył czoło jeden z policjantów - że niemal każda osoba z okolicy mogła wziąć sobie klucze do drzwi kościoła.

Proboszcz ponuro kiwnął głową.

- Lepiej zadzwońmy do porucznika - powiedział starszy policjant. - Na pewno czeka na wiadomość, że włamywacz, alias zaginiony święty, pojawił się tu tej nocy jako duch

księdza.

- To nie było tak - zaprotestował Jupiter.

- Mówiłeś, że widziałeś faceta w czarnym ubraniu i z koloratką - przypomniał mu policjant.

- Tak, ale to nie ten, który mnie przewrócił i zamknął drzwi. Osoba w czerni stała tam, bliżej ołtarza. Ktokolwiek mnie popchnął, musiał być tu, z tyłu. Ten “upiór” po zgaszeniu świecy nie miałby czasu do mnie dobiec, a potem wyjść głównymi drzwiami. Tej nocy w kościele było dwóch nieproszonych gości!

- Dwóch! - jęknęła gosposia. - Stary i jeszcze jeden! - Zwróciła się do proboszcza: - Tylko proszę nie posyłać mnie teraz na herbatę. Tej nocy nie chcę już słyszeć o herbacie!

## Rozdział 9

### Włamywacz na linii

Trzej Detektywi spędzili resztę nocy w mieszkaniu Prentice'a, na zmianę czuwając. Żadne widma się nie pojawiły i już nic nie zakłóciło spokoju. Rano gospodarz był wcześniej na nogach; przygotowywał jajecznicę i grzanki.

- Więc jak, chłopcy - spytał podając śniadanie - doszliście do jakichś wniosków?

- Ja zupełnie zgłupiałem! - przyznał Pete.

- Trochę za wcześnie na zniechęcenie - zgnił go Jupiter. - Sprawa dopiero zaczyna być interesująca. Rzeczywiście jest o czym myśleć.

- Na przykład?

- Na przykład ten fortel włamywacza z posągiem w kościele. To mnie intryguje.

- No dobrze, ale co włamywacz ma wspólnego z duchem, który straszy w moim mieszkaniu?

- Nie wiem - przyznał Jupe. - Myślę jednak, że może mieć pewien związek. Panie Prentice, czy tę zjawę widuje pan o jakiejś określonej porze dnia lub nocy? Ja widziałem ją dwukrotnie wczesnym wieczorem. Kiedy panu się to zdarzało?

- Zwykle późnym popołudniem albo wieczorem - odpowiedział Prentice po chwili namysłu. - Wcześniej w ciągu dnia widziałem ją raz, może dwa razy.

- Nigdy w środku nocy?

- Zwykle wtedy śpię, ale nie pamiętam, by się cokolwiek pokazywało w te noce, kiedy kładłem się do łóżka bardzo późno.

Jupe pokiwał głową.

- Wobec tego, jeżeli czuje się pan dobrze, chcielibyśmy już sobie pójść. Wrócimy tu jeszcze dzisiaj. Mam pewien pomysł w naszej sprawie. W związku z tym muszę coś przygotować w Rocky Beach. Przypuszczam, że Pete i Bob również mają parę rzeczy do załatwienia. Będzie pan całkowicie bezpieczny. To mało prawdopodobne, by zjawy pojawiła się przed naszym powrotem.

Chłopcy zjedli śniadanie i wyszli. Gdy mijali basen na dziedzińcu, z fotela poderwał się Sonny Elmquist.

- Ej! Słyszałem, że widziałeś ducha starego księdza! - krzyknął do Jupe'a. - Szkoda, że nie zajrzałeś do mnie w nocy i nie powiedziałeś mi o tym. Interesują mnie takie rzeczy.

- Nie powiedziałem? - Jupe popatrzył zdziwiony na Elmquista. - Jak mogłem

powiedzieć? Przecież był pan w pracy, prawda?

- Tej nocy miałem wolne. Nie pracuję na okrągło. Nikt tak nie pracuje.

- Skąd pan wie, że Jupe widział ducha? - zainteresował się Pete.

- To proste. Pani O'Reilly opowiedziała pani Bortz. Pani Bortz opowiedziała Hassellowi, a Hassell opowiedział mnie.

Chłopcy wyszli na ulicę, a Elmquist wciąż się ich trzymał.

- Nie żartujesz? - spytał. - Naprawdę go widziałeś?

- Kogoś rzeczywiście widziałem - odrzekł Jupe.

Elmquist pozostał przed wejściem do budynku, chłopcy zaś skierowali się w stronę Wilshire.

- Dziwak z tego Elmquista - stwierdził Pete, gdy siedzieli już w autobusie do Rocky Beach.

- A niby dlaczego? Dlatego że zajmuje się duchami, mandalą, myślą Wschodu? - Jupe rozparł się wygodniej w fotelu. - To jest obecnie bardzo modne. Z wieloma poglądami, które on wyznaje, trudno się nie zgadzać. Wszystkie wielkie religie nauczają, że zbytnie zainteresowanie bogactwem i posiadaniem jest złą rzeczą.

- Miłość do pieniędzy to źródło wszelkiego zła - zacytował Bob.

- Właśnie. Ale wiem, o czym myślisz, Pete. W tym Elmquicie jest rzeczywiście coś dziwnego. Ta jego zdolność przenikania przez ściany, którą najwyraźniej posiada! To bardzo tajemnicze!

O wpół do dziesiątej Trzej Detektywi byli z powrotem w Rocky Beach.

- Myślę, że najwyższy czas uporządkować to wszystko, co już wiemy - ogłosił Jupe, gdy chłopcy wysiedli z autobusu. - Ale chodźmy najpierw do Kwatery Głównej,

Dziesięć minut później detektywi siedzieli wokół starego biurka w swojej przyczepie kempingowej.

- Obecnie mamy trzy zagadki do rozwiązania - oznajmił Jupe zdecydowanym tonem. - Pierwsza to zjawy, która straszy pana Prentice'a. Kto to jest i w jaki sposób dostaje się do mieszkania? Następna tu włamywacz, który ukradł Karpackiego Ogara. Kim on jest i dlaczego korzystał z kryjówki w kościele? I wreszcie duch księdza. Kto to taki i co ma wspólnego z dwiema pierwszymi tajemnicami, jeśli coś go w ogóle z nimi łączy?

- Myślałem, że wiadomo już, kim jest zjawy - zdziwił się Pete. - zarówno ty, jak i pan Prentice rozpoznaliście Sonny'ego Elmquista.

- To prawda - przyznał Jupiter. - Ale mogliśmy widzieć zjawę tylko przez moment. Mam nadzieję, że wy ją też kiedyś zobaczycie.

- Wiemy przynajmniej, że zjawą nie jest pani Bortz - zauważył Bob. - Ona miała klucz!

- To nie ta sylwetka i nie ta tusza. Elmquist ma odpowiednią budowę. Ale nie mam pojęcia, jakim sposobem wchodzi on do mieszkania pana Prentice'a. I jak ktoś może się znajdować w dwóch miejscach jednocześnie? Za każdym razem, kiedy widziałem zjawę, Elmquist przebywał we własnym mieszkaniu, spał.

- Może więc kto inny jest tym fantomem - wzruszył ramionami Pete.

- No ale Elmquist wiedział o mandali - przypomniał Bob. - Opisał ją dokładnie, więc w jakiś sposób musiał ją zobaczyć. A pan Prentice jest pewien, że nigdy go do siebie nie zapraszał.

- Elmquist jest więc naszym głównym podejrzanym w sprawie zjawy - konkludował Jupe - nie mamy jednak na to dowodu ani nie potrafimy tego zjawiska wyjaśnić. A teraz zajmijmy się włamywaczem. Jest to prawdopodobnie ktoś mieszkający w pobliżu, być może nawet w tym samym budynku co pan Prentice, bo wiedział, gdzie wiszą zapasowe klucze do drzwi kościoła. Kto z sąsiadów mógł wiedzieć o Karpackim Ogarze i znał jego wartość?

- Może ów fantom? - zgadywał Pete. - Może to upiór widział papiery na biurku pana Prentice'a albo podsłuchał rozmowę telefoniczną.

- A pani Bortz? - dorzucił Bob. - Mogła natknąć się na jakieś dokumenty związane z Ogarem, kiedy myszkowała po mieszkaniu pana Prentice'a.

- Jeśli ona wiedziała o Ogarze, to wszyscy w okolicy musieli o nim usłyszeć! - wykrzyknął Pete.

- Jupe, czy myślisz, że włamywacz wtargnął do domu Niedlanda, by ukraść właśnie Karpackiego Ogara? - spytał Bob.

- Trudno dociec. Skąd mógłby wiedzieć, że Ogar akurat tam jest? Prawdopodobnie po prostu liczył na znalezienie czegoś wartościowego. Jeżeli mieszkał gdzieś w pobliżu, mógł się orientować, że ostatnio nikogo w tym budynku nie ma. Włamał się, w ręce wpadła mu rzeźba i wtedy spłoszyła go policja. Uciekł do kościoła, gdzie udawał posąg świętego Patryka. Wykazał wielkie opanowanie! Policja szuka, zagląda pod ławki i za filary, a on stoi spokojnie w mitrze i z pastorałem!

- Potem policjanci wyszli, ale znowu pojawił się kościelny - dopowiedział Bob - i wtedy włamywacz ogłuszył go, i uciekł!

- Tak, myślę, że o tę napaść możemy podejrzewać włamywacza - zgodził się Jupe. - Zdawał sobie sprawę, iż wcześniej czy później Earl zauważy ten zupełnie nowy posąg. Prawdopodobnie złodziej uderzył Earla, a potem ukrył skradzioną rzeźbę w kościele i

powrócił po nią ostatniej nocy.

- Ale dlaczego? - spytał Pete. - Dlaczego włamywacz nie mógł schować łupu do kieszeni albo pod marynarkę? Dlaczego zostawił tę rzecz w kościele?

- Nie chciał ryzykować - odpowiedział Jupiter. - Pewnie bał się, że jakiś wóz patrolowy jeszcze jest w pobliżu i policja może go zatrzymać, wypytywać, nawet zrewidować. Uznał, że bezpieczniej będzie pozostawić Ogara na jeden dzień w kościele.

- I wczoraj w nocy wrócił po niego jako duch księdza - dokończył Pete.

- Nie, to nie było tak - nie zgodził się Jupe. - Duch księdza po prostu stał obok ołtarza i nie ruszał się. Przystępca skierowałby się prosto do miejsca, gdzie ukrył kryształowego psa, i potem natychmiast by się ulotnił. Myślę, że musiał się właśnie wycofywać, kiedy wszedłem do kościoła. Potrącił mnie, bo widocznie stałem mu na drodze, wybiegł i zatrzasnął drzwi za sobą.

- Kto w takim razie był duchem księdza? - zastanawiał się Bob.

- Sonny Elmquist? - podsunął Pete. - Duchy to jego specjalność, a ostatniej nocy nie pracował. Może jest w zмовie z włamywaczem.

- To mało prawdopodobny układ - pokręcił głową Jupe. - Facet, który chce się wyzbyć ziemskich pragnień, miałby być współnikiem włamywacza?

- Ale mówił przecież, że potrzebuje pieniędzy, Jupe! - przypomniał podekscytowany Bob. - Zbiera pieniądze na wyjazd do Indii, pamiętasz?

- Słuchajcie, a może Elmquist sam jest włamywaczem? - podniecenie udzieliło się Pete'owi.

- Zapominasz o Istotnych faktach. Elmquist spał w swoim mieszkaniu, kiedy policja ścigała włamywacza - przypomniał Jupe. - Później stał przecież z nami przed kościołem, kiedy policja przeszukiwała wnętrze, a włamywacz prawdopodobnie tam był i udawał posąg świętego.

- Ale Elmquist potrafi przebywać w dwóch miejscach jednocześnie nie dawał za wygraną Bob. - Jeżeli może straszyć w mieszkaniu pana Prentice'a, śpiąc zarazem piętro niżej u siebie, to równie dobrze potrafi się znajdować na zewnątrz i wewnątrz kościoła w tym samym momencie!

- To jest po prostu niemożliwe - Jupe potrząsnął głową nieco sfrustrowany. - Co do jednego się z tobą zgadzam. Wiele rzeczy dotyczących Sonny'ego Elmquista nie jest jeszcze wyjaśnionych. Myślę, że powinniśmy go obserwować i mam pomysł, jak to robić. Pracowałem nad...

Zadzwoił telefon na biurku. Jupe podniósł słuchawkę.

- Tak? Jedną chwileczkę, panie Prentice - przysunął do słuchawki mikrofon połączony z głośnikiem, jedno i drugie wygrzebał kiedyś ze starego sprzętu radiowego. Dzięki temu zestawowi koledzy Jupitera mogli również słyszeć jego telefonicznych rozmówców.

- Tak, słucham pana.

- Dzwonił tu ktoś do mnie - Prentice'owi głos trząsł się ze wzburzenia. - To była osoba, która ma obecnie w rękach Karpackiego Ogara. Mówiłeś, że nie będzie łatwo złodziejowi sprzedać tę rzeźbę. Jednak znalazł na to sposób. Proponuje mi nabycie jej za dziesięć tysięcy dolarów!



## Rozdział 10

### Przypadek truciicielstwa

Trzej Detektywi milczeli zdumieni.

- Jupiter? Jesteś tam? - przerwał ciszę Fenton Prentice.

- Tak, tak. Tak, proszę pana - nie zdarzało się często, by cokolwiek wprawilo Jupitera Jonesa w osłupienie, ale teraz chłopca po prostu zatkało.

- Ja... To paskudna myśl, wchodzić w układy z przestępcą - wystękał Prentice - ale ja muszę mieć Ogara. On jest mój i jeżeli go nie odzyskam, może być stracony na zawsze. Zamierzam zapłacić ten okup. Mam dwa dni na zebranie pieniędzy.

- Czy powiadomił pan policję?

- Nie pójdę na policję. Włamywacz mógłby się spłoszyć, nie chcę ryzykować. Potem już pewnie nigdy nie odzyskałbym Ogara.

- Uważam, że powinien pan to jeszcze raz przemyśleć. Ma pan do czynienia z niebezpiecznym przestępcą. Proszę nie zapominać, co on zrobił z Earlem.

- Pamiętam o tym. Wtedy złodziej się wystraszył i uderzył. Ja nie chcę dać mu żadnych powodów do obaw. No więc, chłopcy, kiedy będziecie u mnie? Przyznam się, że oczekiwanie tu w samotności męczy mnie.

- Czy duch pokazał się znowu?

- Nie, ale myśl o tym, że on się może pokazać... jest przerażająca.

- Chyba mamy szansę złapać autobus o trzeciej - Jupe popatrzył pytająco na kolegów. Bob i Pete kiwnęli głowami. - Będziemy na miejscu przed zmierzchem.

Jupe pożegnał się i odłożył słuchawkę.

- No! - wykrzyknął. - Teraz musimy go ratować również przed włamywaczem! Tym razem lepiej zabrać jakieś ciuchy na zmianę. Bądźcie gotowi na parodniowe dyżurowanie u Prentice'a. Spotykamy się przed trzecią na przystanku autobusowym.

- Mówiłeś, że masz pomysł, jak obserwować Elmquista? - spytał Pete.

- Później wam wyjaśnię. Muszę jeszcze nad tym troszkę popracować.

Bob i Pete zniknęli. Bob zdecydował się pójść do biblioteki w Rocky Beach, gdzie dorabiał sobie katalogowaniem i ustawianiem książek na półkach. Pete miał do załatwienia parę sprawunków dla matki. Jupe spędził resztę poranka zeskrobując rdzę z mebli ogrodowych, które ciotka Matylda chciała odświeżyć i wystawić na sprzedaż. Po lunchu siadł w swoim warsztacie i reperował jakąś aparaturę elektroniczną. W końcu spakował wszystko

w karton, sięgnął po plecak z czystymi rzeczami i tak objuczony ruszył na przystanek autobusowy.

- Ej, co masz w tym pudle? - powitał go Bob. - Jakiś nowy wynalazek?

- To jest zestaw monitorujący. Kamera i odbiornik. Kiedyś były używane w domu towarowym.

- Aha - kiwnął głową Pete. - Takie rzeczy teraz są wszędzie. Służą do podglądania. Pozwalają łapać złodziejasków w sklepach.

- W tym domu towarowym był pożar - wyjaśnił Jupe. - Kamera i monitory uległy uszkodzeniu. Wuj Tytus kupił je za grosze, a ja naprawiłem. Nic trudnego.

- Więc to w ten sposób będziemy obserwować Sonny'ego Elmquista! - wykrzyknął Bob.

- Tak jest. Ponieważ żadne okno w mieszkaniu Prentice'a nie wychodzi na galerię, bez takiego sprzętu nie możemy prowadzić dyskretnej obserwacji dziedzińca. Moglibyśmy, oczywiście, po prostu usiąść na galerii, albo koło basenu, ale nie chcę, by Elmquist, lub ktokolwiek inny, wiedział, że wszystko mamy na oku. Przed drzwiami Prentice'a stoi donica z jakąś wielką rośliną. Ukryjemy w niej kamerę. Będziemy siedzieć w środku i patrzeć na ekran monitora.

- Super! - ucieszył się Pete. - Będziemy mieli własny show telewizyjny!

Godzinę później w bramie posesji przy Paseo Place chłopcy spotkali, rzecz jasna, panią Bortz.

- Wy znowu tutaj? A to - natychmiast zwróciła uwagę na pudło, które w tym momencie niósł Pete - co to takiego?

- Telewizor - wyjaśnił spokojnie Jupe. - Spóźniony prezent świąteczny dla pana Prentice'a.

Obok basenu siedział Murphy, makler giełdowy, paląc papierosa i delektując się ostatnimi promieniami słońca. Co parę sekund strząsał popiół do swojej okazałej popielniczki.

- Zostajecie dzisiaj na noc z panem Prentice'em? - uśmiechnął się na widok chłopców.

- Chyba tak - odpowiedział Jupe.

- To dobrze - Murphy odłożył papierosa. - Staruszek musi czuć się samotny. Miło mieć towarzystwo od czasu do czasu. Mojego siostrzeńca tu dzisiaj nie ma, jest w odwiedzinach u przyjaciół, i już mi go brakuje - Murphy wstał i poszedł do swojego mieszkania.

Pan Prentice przywitał chłopców w drzwiach. Bardzo podobał mu się pomysł

obserwowania dziedzińca za pomocą ukrytej kamery.

- Ustawimy ją o zmierzchu - powiedział Jupe - zanim jeszcze zapalą się lampy. Włączają się chyba koło wpół do szóstej?

- Tak, mniej więcej - potwierdził Prentice. - Zapala je automat, krótko po zachodzie słońca.

Dwadzieścia po piątej Jupe wyjrzał na galerię.

- Szybko, chłopaki - ponaglił - póki nikt nie patrzy.

Ustawił Boba i Pete'a przy barierze galerii. Zasłonięty przez nich umieścił niski, metalowy trójnog w donicy, z której wyrastało drzewko kauczukowe. Na trójnogu osadzona była kamera. Nakierował obiektyw na środek dziedzińca.

W mieszkaniu Prentice'a nowy monitor stanął na biblioteczce. Jupe podłączył go do sieci. Po sekundzie ekran nieco się rozjaśnił.

- Ej, Jupe, to chyba do niczego! - ocenił Pete.

- Zaczekaj, aż zapalą się lampy na dziedzińcu.

Parę minut później detektywi i Prentice ujrzeli na monitorze wyraźny obraz podwórka. Najpierw nie było widać nikogo, potem ukazał się Sonny Elmquist, wychodzący ze swojego mieszkania. Skierował się do tylnej bramy dziedzińca. Po krótkiej chwili pojawił się ponownie, niosąc do domu worek z praniem.

Następną osobą, jaka pojawiła się w polu obserwacji, była młoda blondynka, raczej przy kości. Najwyraźniej weszła na dziedziniec frontową bramą.

- To panna Chalmers - powiedział Fenton Prentice.

Panna Chalmers miała właśnie otworzyć drzwi, gdy stanęła obok niej pani Bortz. Gospodyni wręczyła młodej kobiecie paczkę.

- Pani Bortz zawsze kwituje odbiór przesyłek za lokatorów, jeśli nie ma ich w domu - wyjaśnił Prentice.

- Jestem pewien, że lubi to robić - uśmiechnął się Pętu.

- O, tak - zgodził się Prentice. - Ma okazję dowiedzieć się czegoś więcej o lokatorach.

Pani Bortz nie odchodziła. Mówiła coś do panny Chalmers. Pewnie starała się ją zatrzymać. Chciałaby wiedzieć, co jest w paczce.

W końcu panna Chalmers wzruszyła ramionami, położyła torebkę na stole obok basenu i zabrała się do otwierania paczki.

Alex Hassell wyszedł z mieszkania i również zaczął się przyglądać pannie Chalmers.

- Mieszkańcy tego bloku nie mają wielu tajemnic, prawda? - zauważył Pete.

- Panna Chalmers nie powinna spełniać zachcianek tego wrednego babska - mruknął

gniewnie Prentice. - Dziewczyna jest zbyt pocziwa.

Paczka była otwarta. Chłopcy widzieli uśmiech na twarzy panny Chalmers. Wyjęła coś z pudełka i zjadła. Sięgnęła po raz drugi.

- Czekoladki - powiedział Jupiter.

- Ta dziewczyna nie musiałaby tyle pływać, gdyby potrafiła zwalczyć łakomstwo, a zwłaszcza ograniczyć słodczyce - skomentował Prentice.

Panna Chalmers podsunęła pudełko pani Bortz, chyba przypomniała sobie o dobrym wychowaniu. W tym momencie zeszytniała, a potem złapała się oburącz za gardło. Z upuszczonego pudełka wysypały się czekoladki.

- Co to... ? - Pete niemal stracił oddech.

Panna Chalmers przechyliła krzesło, zgięła się wpół, runęła na ziemię i leżała, wijąc się w konwulsjach.

Trzej Detektywi rzucili się do drzwi na galerię.

- Panno Chalmers! - usłyszeli przerażony głos pani Bortz. - Co się stało?

- Boli! - krzyczała panna Chalmers. - Och, och, jak boli!

Jupe, Pete i Bob pobiegli schodami w dół. Jupiter podniósł jedną z czekoladek, które wypadły z pudełka, i obwąchiwał ją. Panna Chalmers wydawała pełne bólu okrzyki, pan Murphy przybiegł pospiesznie ze swojego mieszkania i pochylił się nad nią. Znalazł się tam również Sonny Elmquist, który pozostawił otwarte drzwi mieszkania.

- Co to jest? - pani Bortz chwyciła Jupitera krzepko za ramię i potrząsała nim mocno, aż zgniótł trzymaną w ręce czekoladkę. Jupe powąchał usmarowane na brązowo palce i zmartwiał.

- Trzeba wezwać pogotowie! - krzyknął. - W tych czekoladkach jest coś paskudnego. Myślę, że ktoś chce ją otruć.

## Rozdział 11

### Czarny kot

- Nie warto czekać na pogotowie! - powiedział Murphy. - Zawiozę ją na ostry dyżur moim samochodem!

- Pojadę z panem - ofiarowała się pani Bortz.

- Weźcie ze sobą te czekoladki - poradził Jupe. - Powinni tam sprawdzić, co w nich jest!

Murphy wyprowadził samochód z garażu, a Pete pomógł panie Chalmers zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Pani Bortz okryła ją kocem. Jupiter podał do samochodu pudło z czekoladkami. Murphy odjechał z rykiem silnika.

- Trucizna! - powiedział Prentice. - Biedna panna Chalmers! Kto, do licha, chciał ją otruć?

- Nie wiadomo, czy była to próba otrucia, panie Prentice - zaznaczył Jupiter. - Wiemy tylko, że czekoladki miały dziwny zapach.

Jednak w dwie godziny później pan Prentice i Trzej Detektywi nabrali już co do tego pewności. Posępne twarze Murphy'ego i pani Bortz, którzy wrócili właśnie ze Szpitala Miejskiego, świadczyły, że sprawa jest poważna.

- Nikt mnie jeszcze tak nie znieważył! - burczała pani Bortz.

- Co się stało? - spytał Prentice. Właśnie wstał z chłopcami od obiadu, gdy usłyszeli warkot samochodu Murphy'ego i pospiesznie zbiegli na dół.

- Ci policjanci! - piekliła się pani Bortz. - Jakie oni pytania zadawali! Jak długo paczka była u mnie, na przykład. Jak śmieli!

- Policja stara się tylko ustalić fakty - uspokajał ją Murphy. Wyglądał na zmęczonego.

- Nigdy nikogo bym nie otruła - oświadczyła pani Bortz, pomaszerowała do swojego mieszkania i zatrzasnęła drzwi za sobą,

- Czy już coś wiadomo, Murphy? - spytał Alex Hassell, który wrócił właśnie z pralni.

- W czekoladkach było coś trującego. W szpitalnym laboratorium jeszcze ustalają dokładnie, co to takiego. Pannie Chalmers zrobiono płukanie żołądka i leży teraz w separacie na obserwacji. Policja wypytywała panią Bortz o paczkę. Ta kobieta nie powinna tego wypytywania tak traktować. Zachowuje się, jakby to ją oskarżono o podanie Gwen zatrutych czekoladek. Nikt jej o nic podobnego nie podejrzewa.

- A jak dostarczono te czekoladki? - spytał Jupiter.

- Najzwyczajniej. Poczta.

Drzwi mieszkania pani Bortz otworzyły się. Gospodyni ochłonęła już i uspokoiła się. Podeszła do basenu.

- Myślę, że wszystko ma swoją dobrą stronę - powiedziała. - tylko Gwen Chalmers korzysta z basenu w tak chłodną pogodę. Teraz nie będzie pływać przynajmniej przez kilka dni. Mogę spuścić wodę i wyczyścić wszystko. Ileż to czasu minęło od ostatniego porządnego sprzątania.

Murphy otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami, zapalił papierosa i poszedł do siebie. Hassell zniknął również.

Prentice spojrzał gniewnie na panią Bortz i ruszył ku schodom.

- Ta baba jest pozbawiona wszelkiej wrażliwości - mruknął w kierunku chłopców. - Przejmować się basenem w takim momencie!

- Kto mógł przysłać panie Chalmers tę truciznę? - zastanawiał się głośno, gdy wszedł już z detektywami do mieszkania.

- Ktoś, kto zna ją i jej słabości - powiedział Jupe. - Ktoś, kto wiedział, że jeśli panna Chalmers dostanie do rąk bombonierę, to natychmiast będzie musiała zjeść jedną lub dwie czekoladki. Najważniejsze pytanie brzmi: dlaczego ktoś chciał ją otruć?

Nikt nie miał odpowiedzi. Jupe usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, nie spuszczać oka z monitora. Oświetlony dziedziniec był pusty.

- Mieszka pan w bardzo interesującym miejscu - Jupe wciąż patrzył na monitor. - Pierwszy raz znaleźliśmy się tutaj zaledwie trzy dni temu i w tak krótkim czasie przyłapaliśmy panią Bortz na wkradaniu się do pańskiego mieszkania. Dwa razy sam widziałem również wkradającego się tu upiora. Obrabowano pana z cennego dzieła sztuki, a następnie zażądano okupu za zwrot tej rzeźby. A teraz usiłowano otruć sąsiadkę.

- Niech pan również nie zapomni o kościelnym - uzupełnił Bob. - To przecież tuż obok. Uderzono go w głowę, a potem Jupe został uwięziony w jego kościele, gdzie zobaczył zjawę księdza.

- Za dużo tych zbiegów okoliczności - stwierdził Jupiter. - Musi być jakiś związek pomiędzy tym wszystkim. Do tej pory jedynym wspólnym elementem jest miejsce. Wszystko zdarzyło się w tym budynku albo w pobliżu.

- Tak. I wszystko zdarzyło się, gdy Sonny Elmquist był na miejscu - zauważył Pete. - Nigdy w godzinach jego pracy.

- Czy sądzicie, że on może słyszeć naszą rozmowę? - zaniepokoił się nagle Prentice. - Jeżeli to on jest duchem, to może tu stać i słuchać, a my nie będziemy o tym wiedzieli.

Bob poderwał się i obszedł całe mieszkanie, zapalając wszystkie lampy. Nigdzie nie było widać żadnej zjawy. Jasne światło w pokojach uspokoiło Prentice'a i zajął się zmywaniem naczyń po kolacji. Detektywi wciąż patrzyli na ekran monitora.

Przez parę godzin nic nie działo się na dziedzińcu. Jedyne pani Bortz wyniosła trochę śmieci do kubłów. Chłopcy byli już nieco znudzeni i senni.

- Patrzcie! - odezwał się nagle Jupe. Sonny Elmquist wyszedł ze swojego mieszkania i stał przy basenie, gapiąc się w wodę. Detektywi obserwowali go uważnie.

Otworzyły się drzwi mieszkania Murphy'ego i ukazał się sam krępy lokator. Palił papierosa i trzymał w ręce swoją okazałą popielnicę. Zrobił nieznaczny gest pozdrowienia w kierunku Elmquista. Następnie zgasił papierosa, postawił popielniczkę na stole koło basenu i zniknął we frontowej bramie. Zaraz potem chłopcy usłyszeli ruszający samochód. Pete zbliżył się do okna, które wychodziło na ulicę.

- Odjeżdża - relacjonował. - Ale zasuwa!

- Może po prostu potrzebna mu przejażdżka - powiedział Prentice. - Wydawało mi się, że był przygnębiony, kiedy wrócił ze szpitala. Pewnie nie mógł zasnąć.

Sonny Elmquist wrócił do siebie i zasłonił okna.

- Psiakrew! - nie mógł się powstrzymać Pete. - Nie będziemy widzieć, co robi.

- Bez wątplenia przygotowuje się do wyjścia do pracy - wtrącił Jupe. - Musi być w sklepie o północy.

W tym momencie zgasły lampy na dziedzińcu. Ekran monitora zrobił się szaroniebieski z jaśniejszymi plamkami zasłoniętych okien Elmquista.

- No, do licha! - Pete był podwójnie zawiedziony. - Teraz już nic nie zobaczymy.

- To automatyczny wyłącznik czasowy. Zawsze o jedenastej gasną lampy - wyjaśnił Prentice.

Jupe wyłączył bezużyteczny monitor.

- Słuchajcie - Pete pogodził się z brakiem wizji i wystąpił z propozycją - jeśli Elmquist idzie dziś w nocy do sklepu i jeśli jest zamieszany w te wszystkie dziwne zdarzenia, to pewnie będzie chciał wykorzystać tę niecałą godzinę, która mu teraz pozostała. Zostańcie w mieszkaniu z panem Prentice'em, a ja wyjdę na galerię i stanę na czatach. Za tym drzewkiem kauczukowym nikt mnie nie zauważy.

- Jeśli coś wypatrzysz, nie dzwoń do drzwi - poinstruował Jupe. - Cichutko zapukaj, a my wyjdziemy.

- Dobra - Pete ubrał się w kurtkę narciarską. Na chwilę pogasły światła w mieszkaniu Prentice'a, Pete wyszedł na zewnątrz i zajął stanowisko obserwacyjne.

Nikłe światło w mieszkaniu Elmquista po krótkim czasie zgasło zupełnie. Pete czekał, kiedy Elmquist wyruszy do pracy. Nie działało się jednak kompletnie nic. Nikłe refleksy świateł wielkiego miasta docierały na dziedziniec sprawiając, że ciemność nie była tu zupełna. Pete nie miał wątpliwości, że dostrzeże wszystko, cokolwiek będzie się ruszać, ale nic się nie ruszało.

Tuż po północy z frontowej bramy wyszedł mężczyzna. Pete zeszywniał, ale tylko na moment, bo szybko rozpoznał Murphy'ego, który zatrzymał się koło basenu. Zabrał ze stojącego tam stolika popielnicę i udał się do swojego mieszkania. Zaraz potem w oknach przysłoniętych firankami zajaśniało światło.

Pete zamrugał oczami. Przez parę sekund, jedynie przez tę chwilę, gdy Murphy sięgał po popielnicę i otwierał mieszkanie, Pete nie patrzył na drzwi Elmquista. I właśnie wtedy Elmquist musiał stamtąd wyjść. W mdłym świetle padającym z okien Murphy'ego Pete widział Elmquista. Szedł bezgłośnie wokół basenu, w kierunku mieszkania maklera, ubrany w szlafrok i pantofle domowe.

Pete zamrugał jeszcze raz. Nie wierzył własnym oczom. Elmquist zniknął! Dwadzieścia metrów od własnego mieszkania po prostu przepadł!

Pete pospiesznie zastukał w drzwi Prentice'a. Nie czekając, aż mu ktoś odpowie czy otworzy, rzucił się schodami na dziedziniec. Chciał dopaść drzwi Elmquista i zdybać młodego mężczyznę, kiedy będzie wracał ze swojego dziwnego spaceru. Był już koło basenu, gdy jego stopa trafiła na coś miękkiego i żywego!

Coś paskudnie zaskrzeczało. Był to skowyt cierpiącego stworzenia!

Pete wzdrygnął się, usiłował uskoczyć w bok, ale to żywe, ruchliwe coś zaplątało mu się między nogami. Krzyknął i runął do przodu.

Stworzenie zaskrzeczało jeszcze raz.

Jak na zwolnionym filmie Polo widział zbliżającą się krawędź basenu.

Widział, że coś czepia mu się stóp. Poczul pazury, i wtedy z pluskiem wylądował w basenie!

Alex Hassell stanął w drzwiach.

Na dziedzińcu zapaliły się latarnie.

Pete wynurzył się na powierzchnię. Łapał powietrze i wypluwał chlorowaną wodę.

Skrzeczająca bestia miotając się dopłynęła do krawędzi basenu, gdzie odłowił ją Hassell. Był to czarny kot.

- Ty... ty oprawco! - wrzasnął Hassell do Pete'a.

Pete wygramolił się z basenu. Wyraźnie poczuł chłód nocy.



- Panie Prentice! - zawołała pani Bortz, która wyłoniła się w szlafroku i z włosami nakręconymi na różowe lokówki. - Panie Prentice, nie wolno pozwalać, by ci chłopcy wałęsali się tu po nocy!

Jupiter zszedł na dół. Sonny Elmquist pojawił się nagle w drzwiach swojego mieszkania.

- Ja... ja nie mogłem zasnąć - tłumaczył się nieudolnie Pete.

- Co tu się dzieje? - ryknął Murphy ze swojego końca.

- Ten bezczelny młokos wlaźł na mojego kotka! - pomstował Hassell, tuląc ociekającego wodą zwierzaka. - No już dobrze, maleństwo - teraz przemawiał z czułością. - Pójdiesz ze mną, wysuszymy cię i ogrzejemy. Nie zwracaj uwagi na tego chuligana!

- Żeby cię tu więcej nie przyłapała! - burknęła pani Bortz i wycofała się do siebie. Pogasły światła.

- Znowu wolna nocka? - Jupe podszedł do Elmquista. - Przepraszamy, że nie jest całkiem spokojna.

- Ja prawie... prawie widziałem...

- Co? - Jupe ciekaw był, co Elmquist prawie zobaczył.

- Nic - Elmquist przetarł oczy. - Musiało mi się śnić. Jeszcze się nie dobudziłem... - chudzielec wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Na górze Prentice czekał z wielkim ręcznikiem, a Bob szykował Pete'owi gorącą kąpiel.

- Skąd wyszedł Elmquist? - dopytywał się Pete, ściągając z siebie mokre ubranie. - Tu z galerii widziałem go, jak szedł koło basenu w stronę mieszkania Murphy'ego. Potem, całkiem nagle, zniknął. Nie było go nigdzie. Zbiegłem więc na dół, żeby go poszukać, potknąłem się o tego cholernego kota i...

- Wpadłeś do basenu - dokończył Jupe. - Widziałem. A tymczasem Elmquist dokądś wyszedł.

- Ale to niemożliwe! - zawołał Pete. - Nie było go w mieszkaniu, kiedy wpadłem do basenu. W żaden sposób nie mógł tam być. Był koło Murphy'ego, a potem nie było go nigdzie!

## Rozdział 12

### Kraksa

Przez pozostałą część nocy Bob i Jupe na zmianę dyżurowali na galerii. Zupełny spokój panował do czwartej, kiedy na dziedziniec wyszła pani Bortz ubrana w grubą, tweedową kurtkę. Jupe cofnął się do mieszkania.

- Pani Bortz dokądś się wybiera - zawiadomił Prentice'a. Starszy pan w ogóle nie kładł się do łóżka. Drzemał tylko od czasu do czasu, spoczywając na sofie.

- Oczywiście - informacja nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Jak to? O czwartej nad ranem?

- Supermarket jest czynny przez całą dobę - ziewnął Prentice. - Pani Bortz zawsze robi zakupy w czwartki i zawsze wyjeżdża o czwartej.

Jupe słuchał ze zdziwieniem.

- Ona mówi, że jeździ tak wcześnie, bo o tej porze nie ma tłoku - ciągnął Prentice. - Sądzę jednak, że jest inny powód. O czwartej rano w tym domu nic się nie dzieje, pani Bortz nie straci żadnych wydarzeń wychodząc po sprawunki. Pan Murphy nigdy nie wyjeżdża do biura wcześniej niż o piątej, a cała reszta lokatorów długo jeszcze tkwi w łózkach.

- Jest aż tak wścibska, że spuszcza lokatorów z oka tylko wtedy, kiedy na pewno śpią? - kręcił głową Pete.

- To rodzaj uzależnienia, nałogu. Ona jest jak pająk, który nie może opuścić swojej sieci. Interesuje się tylko ludźmi, którzy tu mieszkają. Obserwuje ich nieustannie. To jej życie.

Bob podszedł do frontowego okna i odsunął zasłony. Usłyszał warkot samochodu, a potem zobaczył czerwony blask tylnych świateł wozu, wycofującego się z garażu pod budynkiem. Wreszcie ukazał się szary sedan.

- Akumulator jej nie siądzie? Jeździ samochodem tylko raz na tydzień? - spytał Bob.

- Bardzo często dzwoni po mechaników z warsztatu - powiedział pan Prentice.

Sedan wycofał się ulicę, wykręcił i powoli ruszył do przodu.

Zaraz potem tę głęboką ciszę, jaka zdarza się tylko nad ranem, rozerwał huk i krzyk.

Prentice zerwał się z sofy.

Jupe podskoczył do okna i zobaczył, jak sedan zatacza się najpierw w lewo, a potem w prawo. Spod maski auta wydobywały się kłęby dymu.

Pani Bortz krzyknęła znowu. Samochód, który nie poddawał się już żadnej kontroli,

wyrzwał w krawężnik. Dwie przednie opony eksplodowały. Z okropnym łomotem pojazd gruchnął w uliczny hydrant.

Pani Bortz krzyczała już prawie bez przerwy. Potężna fontanna wody spadała z wyłamanego hydrantu prosto na samochód.

- Niech pan wezwie straż pożarną! - krzyknął Pete do Prentice'a.

- Lećmy do niej, zanim się utopi! - Bob rzucił się do drzwi.

Chłopcy zbiegli na dziedziniec, przez który pędził już Murphy w płaszczu kąpielowym i Elmquist w kurtce narzuconej na piżamę. Wszyscy wpadli w rozlewisko lodowatej wody wokół samochodu, a potem pod przesywający zimnem do szpiku kości wodotrysk z rozbitego hydrantu.

- Pani Bortz! - Jupe szarpał za klamkę, ale drzwi nie ustępowały. Kobieta wewnątrz siedziała nieruchomo za kierownicą, patrzyła tępo przed siebie i wrzeszczała. Wrzeszczała, jakby nigdy nie zamierzała skończyć.

Murphy rozbił szybę i potężnym szarpnięciem otworzył wreszcie drzwi. Wraz z Bobem wywlókł z samochodu rozhisteryzowaną panią Bortz.

Z wyciem syren zajechał wóz straży pożarnej. Wyroili się strażacy w czarnych, nieprzemakalnych kurtkach. Dowódca przyjrzał się uważnie wszystkiemu i powiedział parę słów do kierowcy. Ten wsiadł do szoferki i odjechał na róg ulicy.

Chwilę później hydrant przestał wyrzucać wodę.

- Jak to zrobiliście? - spytał strażaka Murphy.

- Na rogu jest główny zawór - wyjaśnił strażak i spojrzał na panią Bortz. - Pani sama prowadziła?

Pani Bortz nie odpowiedziała.

- Zaprowadźmy ją lepiej do mieszkania - włączył się Murphy. - Dostanie jeszcze zapalenia płuc.

Bob i Jupe musieli niemal wnosić panią Bortz po schodkach do bramy, Murphy zabrał klucze z rozbitego samochodu i otworzył mieszkanie gospodyni. Nadjechała policja.

- Ktoś do mnie strzelał wydawało się, że pani Bortz mówi nie poruszając wargami.

- Niech się pani przebierze w suche rzeczy - powiedział łagodnie policjant - a potem, jak już poczuje się pani lepiej, porozmawiamy o tym, co się stało.

Kiwnęła głową i przeszła do sąsiedniego pokoju.

Jupe zdał sobie sprawę, że sam dzwoni zębami.

- Ja również pójde się przebrać - poinformował policjanta.

- Widziałeś coś? - spytał policjant.

- Widziałem, jak ten samochód ruszał - Jupe dygotał.

- Dobra. Idź się przebrać i wróć tutaj. Wy dwaj też - policjant zwrócił się do Boba i Pete'a.

Parę minut później chłopcy wrócili w suchych ubraniach i opowiedzieli policji o wypadku.

Przyjechała pomoc drogowa. Wokół rozbitego samochodu kręciło się kilku mężczyzn w mundurach policyjnych i jeden ubrany po cywilnemu.

- Jeżeli ktoś do niej strzelał, to spudłował - powiedział ten w cywilu.

- Był strzał - zapewnił Jupe. - Słyszałem. Zaraz jak ruszyła, rozległ się huk. To był strzał albo... albo wybuch.

Mokra karoseria sedana przygniatająca swą masą hydrant, lśniła w świetle reflektorów wozu pomocy drogowej.

- Nie ma żadnych dziur po kulach - stwierdził tajniak. Jupe zauważył coś na ziemi. Kawalek czerwonego papieru, nasiąknięty wodą. Schylił się, podniósł ten strzęp i uważnie go oglądał.

- Kłęby czarnego dymu - powiedział.

- Co? - nie zrozumiał tajniak.

- Zaraz po tym strzale, czy wybuchu, spod maski samochodu wydobyły się kłęby dymu.

Tajniak podszedł do sedana od przodu i podniósł maskę. Policjant w mundurze poświecił mu latarką.

Na bloku silnika tkwiły strzępy jakiegoś papieru i kłaki osmalonej watoliny. Przewody płynu chłodzącego były popalone, a pasek klinowy zerwany.

- To nie strzał - orzekł policjant w cywilnym ubraniu. - Tu pod maską był rodzaj bomby!

- Zabierać! - zatrzasnąwszy maskę krzyknął do kierowcy wozu pomocy drogowej. - Zabrać wrak na parking policyjny!

Odwrócił się do chłopców. Znowu pojawił się tu Murphy, był również Sonny Elmquist i Alex Hassell, który chyba naciągnął spodnie na piżamę.

- Ktoś chciał ją załatwić! - stwierdził Hassell.

- Czy miała jakichś wrogów? - spytał policjant.

- Wszyscy mieszkańcy byli jej wrogami - odrzekł kwaśno Murphy - ale nie wiem o nikim, kto byłby zdolny do podłożenia bomby w samochodzie.

Makler giełdowy ziewnął.

- Nazywam się Murphy - przedstawił się tajemnikowi - John Murphy. Mieszkam pod numerem 1E i niczego nie widziałem Usłyszałem tylko wybuch i huk zgniatanej blachy. Wybiegłem razem z tymi chłopakami i pomogłem wyciągnąć starą sowę z samochodu. No, ponieważ niewiele spaliśmy, to ja robię sobie dzisiaj wolne i idę do łóżka. Jeżeli chce pan zadać mi jeszcze jakieś pytania, proszę bardzo, ale dopiero po południu. Mam zamiar spać aż do dwunastej.

Makler odwrócił się i zniknął w bramie.

- Dziwne rzeczy dzieją się w tym domu w ostatnich dniach - stwierdził policjant patrząc za Murphym.

- Święta prawda! - przytaknął Pete i spojrzął ku wschodowi gdzie różowa zorza zaczynała rozjaśniać niebo. - Ale za to rano powinien być ładny i spokojny. Co jeszcze może się wydarzyć?

## Rozdział 13

### Pożar

Po nocnych emocjach pan Prentice i wyczerpani detektywi spali twardo. Późnym rankiem Prentice podał chłopcom wyśmienite śniadanie. Jupe włączył monitor telewizyjny, ale na ekran zerkali tylko od czasu do czasu. W całym bloku panował zupełny spokój.

- Wybieram się do banku - zakomunikował pan Prentice. - Do jutra muszę zebrać dziesięć tysięcy w małych banknotach. Będę wdzięczny, jeśli któryś z was dotrzyma mi towarzystwa.

- Oczywiście, panie Prentice - powiedział Jupe. - Uważam jednak, że powinien pan powiadomić o wszystkim policję.

- Nie. Karpacki Ogar jest dla mnie zbyt cenny, by ryzykować jego utratę. Jeżeli złodziej poczuje się zagrożony, może go po prostu zniszczyć. Musimy co do joty spełnić jego żądania.

Jupiter podszedł do okna. Na ulicy stała taksówka. Szofer włożył do bagażnika walizkę, a do wozu wsiadła pani Bortz.

- Pani Bortz wyjeżdża - poinformował Jupe, gdy samochód oddalił się.

- Ma siostrę w Santa Monica - wyjaśnił Prentice. - Zawsze się tam udaje, gdy jest chora albo ma kłopoty.

- A teraz właśnie ma kłopoty - powiedział Pete. - Bomba podłożona w samochodzie to...

Przerwał mu brzęk tłuczonego szkła, który było słychać wyraźnie mimo zamkniętych drzwi na galerię.

- Pożar! - krzyczał ktoś. - Ratunku! Pali się!

Chłopcy i pan Prentice wypadli natychmiast na galerię.

Na parterze widać było płomienie pożerające zasłony w oknach Johna Murphy'ego. Sonny Elmquist, bosi i z nastroszonymi włosami, wybijał szyby żelaznym krzesłem porwanym znad basenu.

- Wielkie nieba! wykrzyknął Prentice i cofnął się do mieszkania, by zadzwonić po straż pożarną.

Pete chwycił drugie żelazne krzesło, zanim jeszcze Jupe i Bob dotarli na dziedziniec.

Alex Hassell wygramolił się ze swego mieszkania.

- Panie Murphy! - ryknął Pete. Pospiesznie zgarniał z parapetu okiennego kawałki

szkła i tłamsił ogień na zasłonach.

Jupe wypatrzył gaśnicę w niszy koło schodów. Zdjął ją ze ściany i pobiegł ku płomieniom.

Piana z gaśnicy podziałała błyskawicznie. Ogień niknął, sycząc wściekle. Wreszcie chłopcy i Elmquist mogli wskoczyć przez okno do środka. Jupe skierował strumień piany z gaśnicy na tłącą się sofę i na choinkę tuż za nią.

Mieszkanie wypełniał dym i chłopcy zaczęli kaszleć. Krzyczeli, ale Murphy nie odpowiadał. Jupe i Pete przykucnęli, bo bliżej podłogi dym był mniej gęsty. Znaleźli wreszcie Murphy'ego leżącego w drzwiach pomiędzy salonem i sypialnią.

- Musimy go wyprowadzić na zewnątrz, szybko! - zawołał krztusząc się Pete. Obrócił Murphy'ego na wznak i poklepał po policzku. Murphy ani drgnął.

- Ciągniemy - zdecydował Jupe.

Jupe i Pete chwycili Murphy'ego za ramiona, a Bob za nogi. Z tyłu Sonny Elmquist kaszlał i krztusił się.

- Z drogi! - przepędzał go Pete. - Drugiej ofiary już nie wyciągniemy!

Elmquist dopadł do drzwi, przekręcił klucz i otworzył. Wciąż nisko pochyleni do ziemi detektywi wywlekli nieprzytomnego mężczyznę na świeże powietrze. Zrobili to szybko, choć makler był potwornie ciężki. Ułożyli go koło basenu. Słońce oświetliło bladą twarz.

- O rany! - westchnął Prentice.

- Czy on... czy on już... - Alex Hassell wytrzeszczał oczy.

Pete przyłożył ucho do piersi Murphy'ego.

- Żyje - powiedział.

Przybyła straż i karetka pogotowia. Murphy'emu nałożono maskę tlenową. Strażacy dogasili tłący się tu i ówdzie ogień.

Po chwili makler westchnął, otworzył oczy i próbował jedną ręką uwolnić się od aparatu tlenowego.

- Wszystko w porządku, proszę pana - powiedział sanitariusz, zdejmując mu maskę. - Nałykał się pan dymu i to wszystko. Miał pan szczęście.

Murphy próbował usiąść.

- Powoli, powoli. Zabierzemy pana do szpitala.

Murphy jakby chciał się sprzeciwić, ale zaraz opadł z powrotem na ziemię.

- George, przynieś nosze - sanitariusz zwrócił się do kierowcy karetki.

Murphy leżał spokojnie i nie protestował, gdy przekładano go na nosze. Sanitariusz

przykrył pogorzela szarym kocem.

- Czy ktoś nie powinien z nim pojechać? - spytał Hassell.

- Mój siostrzeniec - powiedział słabym głosem Murphy. - Poproszę, by wezwano siostrzeńca.

Po chwili karetka odjechała na syrenie. Kapitan straży wyłonił się ze spalonego mieszkania.

- Znowu ta sama historia - stwierdził, pokazując spalony do połowy, wymoczony w pianie gaśniczej, papieros. - Usnął z zapalonym papierosem. Zajęła się najpierw sofa, a potem firanka i...

- Całe szczęście, że to zauważyłem - Sonny Elmquist był wciąż bosy. Twarz miał bardzo bladą.

- Tak, ten facet miał szczęście. Mógł już być świętej pamięci. Ta choinka to prawdziwe drzewko z lasu. Gdyby ogień doszedł do niej, całe mieszkanie sfajczyłoby się w minutę.

- Usnął z papierosem? - spytał Jupiter.

- Wielu ludziom się to zdarza, chłopcze - odpowiedział kapitan.

- Ale on miał taką specjalną popielniczkę. Twierdził, że może w niej zostawić papierosa bez obawy, że wypadnie. Na pewno nie mogło się to zdarzyć.

- Jak ktoś pali, kiedy już jest śpiący, wszystko może się przytrafić - oświadczył kapitan straży.

- A pan Murphy był śpiący - stwierdził Prentice. - Powiedział, że będzie spał aż do południa. Rzucił się na sofę i...

- Ale znaleźliśmy go na podłodze w drzwiach do sypialni. Jeżeli spał na sofie w salonie, to dlaczego ruszył w tamtą stronę zamiast do wyjścia? - zastanawiał się Jupiter.

- Stracił orientację w tym dymie - kapitan straży nie miał wątpliwości. - Bardzo o to łatwo. Kiedy ogarnął go dym, nie wiedział nawet, z której strony są drzwi.

Strażacy wynieśli sofę, usuwając w ten sposób ostatnio zarzewie ognia.

- Będzie tu trochę sprzątanina - zauważył Hassell,

- Pani Bortz się wścieknie, jak to zobaczy - Sonny Elmquist wyglądał na ucieszonego.

A, swoją drogą, gdzie ona jest?

- Odjechała niedawno taksówką - poinformował go Bob.

- Dokąd karetka odwiozła pana Murphy'ego? - Jupe spytał kapitana strażaków.

- Do Szpitala Miejskiego. Tam mają ostry dyżur dla tego rejonu. Może go od razu odeślą albo położą u siebie lub w innym szpitalu, jeśli tego będzie sobie życzył.



- Szpital Miejski - powtórzył Jupiter. - To tam, gdzie jest panna Chalmers. Ale...  
dlaczego Murphy tam trafił?

- Oni mają ostry dyżur.

- Nie o to mi chodzi - zamyślił się Jupe. - Pan Murphy był taki ostrożny, kiedy palił.  
Nie powinien spowodować pożaru. To po prostu nieprawdopodobne!

## Rozdział 14

### Ciała astralne

- Jakieś złe licho prześladowuje ten dom! - oświadczył Alex Hassell po odjeździe strażaków. - Najpierw Gwen Chalmers, potem pani Bortz, a teraz Murphy!

- Wszystko zaczęło się od włamania - zauważył Prentice. Nie patrzył na Sonny'ego Elmquista, który wyciągnął się na leżaku, mrużąc oczy od słońca. - Jeszcze cztery dni temu było tu zupełnie spokojnie, aż do chwili, kiedy włamywacz przebiegł przez to podwórko. Od tej pory wszystko się zmieniło.

- Nasuwa się oczywisty wniosek - Jupe skinął głową. - Karpacki Ogar jest gdzieś tutaj! I osoba, która ukradła Karpackiego Ogara, najprawdopodobniej również tu jest!

- Młody człowieku, o czym ty mówisz? Tu nie ma żadnego psa - oświadczył Hassell - skradzionego czy jakiegokolwiek innego. Już moje koty wiedziałyby o psie, gdyby tu był!

- To kryształowa statuetka psa - wyjaśnił Fenton Prentice. - Zakupiłem Ogara u artysty rzeźbiarza Edwarda Niedlanda, a potem wypożyczyłem rzeźbę na wystawę jego dzieł w Maller Gallery. Ogara ukradziono w poniedziałek wieczorem z domu Edwarda.

- Ach, więc o to chodziło pani Bortz! - roześmiał się Alex Hassell. - Powiedziała mi, żebym lepiej pilnował swoich kotów, bo pan zamierza sobie sprawić psa. Szklany pies! Ha!

- Ona grzebała w moich papierach - westchnął Prentice. - Myślała, że kupuję żywego psa, jestem pewien. Rozpaplala to po całym bloku, a potem ktoś ukradł Ogara!

- To nie ja! krzyknął Hassell. - Co więcej, nie mam zamiaru przebywać dłużej w miejscu, gdzie się truje ludzi i podkłada bomby do samochodów. Wyprowadzam się do motelu!

Spieszonym krokiem pomaszerował do swojego apartamentu. Niedługo potem ukazał się z koszykiem do przenoszenia małych zwierząt w jednej ręce i z walizką w drugiej.

- O piątej przyjdę tu nakarmić moje kociaki - poinformował. - Naturalnie zabieram ze sobą Tabithę. Gdyby ktoś chciał się ze mną skontaktować, będę w Ramona Inn, do czasu aż sytuacja tutaj zostanie uzdrowiona.

- Może pan przeszukać moje mieszkanie, jeśli pan sobie życzy - Hassell rzucił piorunujące spojrzenie Prentice'owi - ale lepiej byłoby, gdyby miał pan nakaz rewizji.

Oddalił się z godnością.

- Również moje mieszkanie może pan przeszukać - zaproponował Sonny Elmquist. - Idę do pracy w południe, więc jest jeszcze sporo czasu. Nie musi pan mieć nakazu rewizji.

- W południe? - zdziwił się Bob. - Myślałem, że pan pracuje nocami.

- Dzisiaj mam wcześniejszą zmianę - wyjaśnił Elmquist. - Jeden z kolegów zachorował.

- Jestem pewien, że Ogara nie ma u pana - powiedział cicho Jupiter. - Nie ma go w żadnym z mieszkań w tym budynku.

Sonny Elmquist wyglądał na lekko rozczarowanego. Wzruszył ramionami i poszedł do siebie.

- Skąd jesteś tego taki pewien? - zapytał Prentice.

- Z tej oczywistej przyczyny, że pani Bortz we wszystko wtyka tu swój nochal. Chce wiedzieć wszystko o lokatorach i każdy doskonale pamięta, że jest okropnie wścibska. Do dzisiaj prawie nie opuszczała tego miejsca. Ma klucze do wszystkich drzwi i może wejść wszędzie. Gdybym to ja ukraść Karpackiego Ogara i mieszkał w tym bloku, na pewno nie trzymałbym łupu u siebie.

- Tak. Myślę, że masz rację.

- Ale to nie znaczy, że Ogara nie ma gdzieś w pobliżu. Z jakiej innej przyczyny ktoś próbowałby usunąć stąd tylu lokatorów? Wczoraj ktoś podał truciznę pannie Chalmers. Dzisiaj bomba eksplodowała w samochodzie pani Bortz. Następnie wybuchł pożar w mieszkaniu pana Murphy'ego. Bardzo mnie to zastanawia. Chciałbym porozmawiać z Murphym. Kiedy poczuje się lepiej, może coś sobie przypomni.

- Więc myślisz, że ten pożar nie wybuchł przypadkowo? - zmarszczył brwi Bob.

- Myślę, że nie.

- Sądzisz, że to Sonny Elmquist podłożył ogień? - zastanawiał się Bob. - Zdumiewająco szybko przybiegł na ratunek. Może najpierw przeniknął przez ściany, by podłożyć ogień, a potem popisywał się przy gaszeniu!

- Jak masz zamiar udowodnić taką osobliwą teorię? - spytał Pete.

- Na początek - oświadczył stanowczo Bob - wproszę się na rozmowę do doktora Barristera. - Mówił o profesorsze antropologii na pobliskim uniwersytecie, człowieku, który swą wiedzą o magii i okultyzmie już wcześniej służył Trzem Detektywom. - Być może Elmquist nie podpalił mieszkania, ale naprawdę wygląda na zdolnego do przechodzenia przez ściany. Doktor Barrister może wiele wyjaśnić.

- Wolę trzymać się realnego świata! - powiedział Pete. - Pójdę w trop za Elmquistem, kiedy wyjdzie do supermarketu. Mówi, że pracuje w sklepie, ale wiemy to tylko od niego. Mogę się również upewnić, czy Hassell naprawdę przeniósł się do motelu.

- A ja - zawiadomił kolegów Jupe - wybieram się z odwiedzinami do szpitala.

Potrzebuję informacji od panny Chalmers i od pana Murphy'ego.

- Planowałem wizytę w banku z wami, chłopcy - zmartwił się pan Prentice. - Nie chcę w pojedynkę nieść tych wszystkich pieniędzy na okup.

- Słusznie. I nie powinien pan też zostawać samotnie w domu - powiedział Jupe. - Może ktoś z przyjaciół dotrzymałby panu towarzystwa?

- Charles Niedland, oczywiście!

Prentice natychmiast zadzwonił do pana Niedlanda, który obiecał pojawić się na Paseo Place za parę minut.

Bob zatelefonował do doktora Barristera i zaraz pobiegł do taksówki. W dwadzieścia minut później siedział już w gabinecie profesora. Twarz uczonego promieniała podnieceniem, co nie zdarzało się często.

- No, co masz tym razem? - spytał. - Jakiego typu zjawisko mistyczne odkryli Trzej Detektywi?

Bob opowiedział o zjawie, która nawiedza mieszkanie pana Prentice'a.

- Hm! - zastanowił się Barrister. - Nie sądzę, by była to moja dziedzina. Jestem ekspertem od folkloru Maorysów i praktyk magicznych na Karaibach, a to, o czym mówisz, wydaje się przypadkiem psychicznym. Wierzę w wiele rzeczy, których inni ludzie nie uważają za prawdę, ale nie wierze w duchy. Mam jednak - tu Barrister ponownie się rozjaśnił - koleżankę, której umysł jest otwarty na takie sprawy.

- Wiedziałem, że pan nam pomoże - uśmiechnął się Bob.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Zaprowadzę cię do profesor Lantine. Jest kierownikiem katedry parapsychologii. Połowa ludzi na uniwersytecie ma ją za pomyloną, a druga połowa obawia się, że ona czyta w ich myślach. Na pewno będziesz się cieszył z tego spotkania.

Profesor Lantine, którą znaleźli w domku z cegły za salą gimnastyczną, okazała się kobietą o miłym wyglądzie, po czterdziestce. Była zajęta czytaniem listów. Uśmiechnęła się szeroko do doktora Barristera, unosząc kartkę papieru.

- Zgadnij, co to? To list od faceta z Dubuque, który twierdzi, że straszy go duch siostry. Ale on nigdy nie miał siostry.

- Twoja poczta jest zawsze fascynująca, Eugenio. Przyprowadziłem ci Boba Andrewsa z prywatnej firmy detektywistycznej. Opowie ci coś interesującego.

- Z firmy detektywistycznej? - w oczach profesor Lantine błysnęło rozbawienie. - Nie jesteś ty trochę za młody?

- Młodość ma swoje atuty, wiesz o tym. Młodzi ludzie mają energię, ciekawość, a

wolni są od uprzedzeń i rutyny. Bob, opowiedz pani profesor Lantine o waszym ostatnim przypadku.

Bob powtórzył wszystko, wspominając na koniec o duchu księdza, który pokazał się Jupe'owi w kościele Świętego Judy.

- A, tak! - pokiwała głową profesor Lantine.

- Słyszała pani o duchu księdza? - Bob był zaskoczony.

- Obecny proboszcz niedawno mi o tym opowiedział. Często jestem proszona o zajęcie się takimi sprawami. Ksiądz McGovern nigdy ducha nie widział, ale jego gospodyni niemal dostała rozstroju nerwowego na tym tle. Postać, którą twój przyjaciel widział w kościele - chudy mężczyzna o białych włosach, w sutannie - odpowiada rysopisowi starego proboszcza. Jego portret wisi w salonie na plebanii. Po rozmowie z gospodynią doszłam jednak do interesującego odkrycia. Ta kobieta pochodzi z miasteczka Dungalway w Irlandii. Tamtejszy kościół parafialny jest sławny, bo podobno ukazuje się w nim duch księdza, który zginął na morzu. Ja sama spędziłam kilka nocy w kościele Świętego Judy i nic nie zobaczyłam. Rozmawiałam również z mieszkańcami Paseo Place. Chociaż wielu z nich, zwłaszcza starszych, wierzy w wizyty ducha, nikt go nie widział. Przypuszczam, że to pani O'Reilly go stworzyła. Próbuje tu rekonstruować, inscenizować opowieść zapamiętaną z dzieciństwa.

- Natomiast ten fantom w mieszkaniu pana Prentice'a jest chyba czymś innym - profesor Lantine pogładziła się po policzku. - Mówisz, że pojawia się wtedy, gdy młodzieniec śpi u siebie?

- Tak jest.

- Cudowne! - profesor Lantine uśmiechnęła się. - To ciało astralne.

- Ale pan Prentice nie uważa, by to było cudowne. Jak Elmquist to robi?

- Jeżeli mamy w jego wypadku do czynienia z ciałem astralnym, to Elmquist wychodzi ze swego ciała fizycznego podczas snu i wędruje - profesor Lantine wydobyła z szuflady kilka teczek.

- Niewiele jest przypadków zbadanych laboratoryjnie. Ludzie doświadczający takich stanów często nie chcą o nich mówić. Sądzą, że dostali świra, i wolą się z tym nie zdradzać. Ale w zeszłym roku do laboratorium zgłosiła się zwykła gospodyni domowa z Montrose. Nie mogę podać jej nazwiska, bo obowiązuje nas tajemnica.

Bob skinął głową.

- Ta kobieta od pewnego czasu miała prawdziwe sny.

- Chcesz powiedzieć, Eugenio - Barrister pochylił się ku niej - że zdarzenia, które się

kobiecie przyśniły, potem miały miejsce naprawdę?

- Niezupełnie. Śniło jej się na przykład przyjęcie urodzinowe w domu matki, w Akron. Widziała wszystko całkiem wyraźnie. Była na urodzinach matki i przyjechały dwie siostry naszej gospodyni. W białym torcie z imieniem i datą wypisaną różowym lukrem tkwiła tylko jedna świeczka. Rankiem kobieta opowiedziała swój sen ze wszystkimi szczegółami mężowi. Po paru dniach przyszedł list od jednej z sióstr z fotografią z przyjęcia urodzinowego. Na zdjęciu wszystko było dokładnie takie jak we śnie: stroje gości, biały tort z różowymi napisami i świeczką. Mąż kobiety poczuł się bardzo nieswojo i skłonił ją, by zgłosiła się do nas. Wyznała, że takie rzeczy zdarzają się jej raczej często. Nie lubiła tego i próbowała o tym zapomnieć.

- Mówiła pani profesor, że ta kobieta była badana w warunkach laboratoryjnych - przypomniał Bob.

- Tak. Poprosiliśmy ją, by została tu na uniwersytecie przez parę dni. Spała w sali laboratoryjnej, gdzie mogliśmy ją obserwować dyskretnie przez jednostronnie przezroczystą ścianę. Wiedziała, że na półce, wysoko ponad jej łóżkiem, leży kartka papieru z wypisanym numerem dziesięciocyfrowym. Nikt tej liczby nie znał. Wypisała ją sekretarka w zupełnie innym instytucie i natychmiast włożyła kartkę do koperty.

Po pierwszej nocy w laboratorium kobieta z Montrose nie umiała powiedzieć, jaki to numer. Wiedziała natomiast, że na kopercie jest plamka niebieskiego laku. A przecież ani razu nie wstawała z łóżka.

Następnej nocy kartka z liczbą leżała na tej samej półce, ale już bez koperty, napisem do góry. Rano kobieta bezbłędnie podała nam dziesięciocyfrowy numer!

- Obserwowaliście ją przez całą noc? - upewniał się Bob. - Ani razu nie wstawała i nie próbowała sięgnąć na półkę?

- Nie ruszała się przez całą noc. Ale była zdolna jakoś opuścić własne ciało i odczytać numer. Albo, jak powiadamy, jej ciało astralne opuściło ciało fizyczne.

- Ale to niewiele wyjaśnia - stwierdził Bob po chwili zastanowienia.

- Pokazuje, w jaki sposób ten wasz intruz dowiedział się o Prentice'owej mandali - zauważył doktor Barrister.

- Ale Sonny Elmquist wędruje z mieszkania do mieszkania.

- I zawsze jednocześnie śpi u siebie? - spytała profesor Lantine. - To przypadek rzadki, ale się zdarza - Lantine sięgnęła do następnej teczki. - Mężczyzna z Orange. Przez całe życie miał niepokojące sny. Widział w nich miejsca i zdarzenia, które, jak okazywało się później, były prawdziwe. I, w odróżnieniu od kobiety z Montrose, jego ciało astralne było

obiektem widzialnym!

Mężczyzna z Orange miał przyjaciela w Hollywoodzie, nazwijmy go Jones. Pewnego wieczora Jones siedział sobie w domu i czytał książkę. Nagle pies zaczął szczekać, więc Jones pomyślał, że może ktoś zakrada się do ogrodu. Poszedł sprawdzić i w holu zobaczył znajomego z Orange. Widział go tak wyraźnie, że odezwał się do niego, zwrócił się do przyjaciela po imieniu. Mężczyzna nie odpowiedział, lecz odwrócił się i wszedł po schodach na piętro. Jones ruszył za nim i nie znalazł na górze nikogo.

Jones nie mógł się uspokoić po tym przeżyciu i zadzwonił do Orange. Mężczyzna z Orange odebrał telefon. Powiedział, że spał i śniło mu się, iż był w domu Jonesa. Widział, jak Jones odkłada książkę i wychodzi do holu. Kiedy Jones odezwał się do niego w holu, mężczyzna z Orange poczuł się zagrożony, wszedł więc na piętro i schował się w garderobie. Sen urwał się, kiedy zadzwonił telefon.

- Niesamowite! - wykrzyknął Bob.

- Tak, to jest zdumiewające i może napawać lękiem - powiedział profesor Lantine. - Wystraszeni są zarówno ludzie, którzy taką zdolność przenoszenia się w przestrzeni posiadają, jak i ci, którzy widzą tych wędrowców.

- Sonny Elmquist napędził stracha panu Prentice'owi, to prawda! Czy jednak pan Prentice jakimś sposobem może zamknąć mu drogę do swojego mieszkania?

- Jeżeli Elmquist wchodzi tam jako ciało astralne, to raczej nie. Ale pan Prentice nie ma się czego obawiać. Tacy ludzie są nieszkodliwi. Ciała astralne nie są zdolne do żadnych działań. No wiesz, to tylko obserwatorzy.

- Nie mogą niczego dotykać?

- W każdym razie nie mogą poruszać żadnych przedmiotów. Ta gospodyni domowa z Montrose na przykład nie mogła zobaczyć, jaki numer jest na kartce schowanej w kopercie. Dopiero kiedy za nią wyjęliśmy tę kartkę z koperty, odczytała liczbę.

- Elmquist nie może więc nic zrobić w mieszkaniu Prentice'a?

- Chyba nie.

- Sonny Elmquist chce wyjechać do Indii. Chce tam studiować.

- Dość powszechnie panuje przekonanie - powiedziała profesor Lantine - że mistycy hinduscy znają tajemnice niedostępne ludziom Zachodu. Wątpię w to. Ale jeżeli pan Elmquist odbywa wędrówki w postaci ciała astralnego, w Indiach wzbogaci swoją wiedzę na ten temat.

- A co z duchem księdza? - spytał Bob. Profesor Lantine wzruszyła ramionami.

- Nie zdołałam znaleźć choćby cienia dowodu na to, że duch księdza istnieje gdziekolwiek poza wyobraźnią gospodyni proboszcza. Może twój przyjaciel widział w

kościół zjawę księdza, może nie. Ja nigdy w życiu nie widziałam ducha, a poluję na duchy od wielu lat. Może one istnieją? Kto to wie?



## Rozdział 15

### Ofiary

Kiedy Bob Andrews jechał w kierunku uniwersytetu, Jupe wchodził do Szpitala Miejskiego. W izbie przyjęć dowiedział się, że John Murphy, któremu udzielono pomocy w związku z lekkim zatruciem dymem, został przewieziony do Belvedere Clinic, gdzie pracuje jego lekarz domowy. Natomiast Gwen Chalmers leżała wciąż w Szpitalu Miejskim.

Jupe znalazł ją w separacie. Siedziała na łóżku, patrząc smętnie za okno.

- Cześć - przywitała Jupe'a. - To ty jesteś tym młodym przyjacielem pana Prentice'a, prawda?

- Tak. Jak się pani czuje?

- Nieźle, biorąc po uwagę to, że ktoś chciał mnie zabić. Jestem głodna, bo dają mi tylko żelatynę i mleko. Nigdy nie łykaj żadnej trucizny - poradziła Jupe'owi, kopiąc ze złością kołdrę.

- Dobrze, będę tego unikał - przyrzekł Jupe. Patrzył uważnie na dziewczynę. Nie miała twarzy osoby nieszczęśliwej. Zmarszczki przy kącikach ust świadczyły raczej o skłonności do łatwego wybuchania śmiechem.

- Jaka to była trucizna? - spytał.

- Jakiś pospolity związek chemiczny. Policjant podał mi nazwę, ale nie zapamiętałam. W każdym razie żadna z tych klasycznych trutek znanych z kryminałów, no wiesz, typu arszenik czy strychnina.

- Całe szczęście! Gdyby pani zjadła strychninę, już by pani tu nie było!

- Wiem, wiem! Powinam być wdzięczna, że się tylko pochorowałam po tym świństwie. Dostać zatrute czekoladki, to wystarczająco dramatyczna przygoda - roześmiała się.

- Czy policja wpadła na jakiś ślad?

- Powiedzieli, że takie bombonierki można kupić w każdym sklepie, a trucizna jest pospolita - patrzyła na kwiatek w doniczce, stojący na szafce nocnej.

- To prezent? - spytał Jupe.

- Dziewczyny z pracy mi przysłały. Dzwoniłam dzisiaj rano do biura i zaraz potem pojawiła się ta roślina. Bardzo to miłe.

- W pracy ma pani dobre stosunki, prawda?

- Gadasz jak ci gliniarze! - roześmiała się. - Całe rano próbowali ustalić jakiegoś

mojego wroga. Co za nonsens! Tacy ludzie jak ja nie mają wrogów.

- Jestem pewien, że nie ma pani wrogów. Pan Prentice będzie się cieszył, że czuje się pani lepiej.

- To miły człowiek. Lubię go. Dobrze, że będzie miał psa.

- Karpackiego Ogara?

- Tak. Powiedział mi...

- Powiedział, że będzie miał Karpackiego Ogara?

- Zaraz, zaraz, muszę sobie przypomnieć - zmarszczyła brwi. - Nie, to pani Bortz mi mówiła. Tak, pamiętam. W ostatnią sobotę siedziałam koło basenu, a pani Bortz kręciła się tam, udając, że czeka na listonosza. Powiedziała, że pan Prentice zamierza kupić sobie psa, ale nie powiadomił jej o tym oficjalnie. Mówiła to takim tonem, jakby miała do niego pretensje. Nie była pewna, czy w tym budynku można trzymać psy, chociaż nie wiem z jakiego powodu miałyby to być zakazane. W końcu tyle bezpańskich kotów przychodzi do Alexa Hassella.

Jupe pokiwał głową.

- Przynieść pani coś z domu?

- Nie, dziękuję. Dostałam wszystkie przybory toaletowe. Nic mi nie potrzeba. Poza tym jutro albo pojutrze wychodzę. Trzymają mnie tu tylko na obserwacji.

Jupe pożegnał się i wyszedł zamyślony.

A więc panna Chalmers wiedziała o Karpackim Ogarze, chociaż ona również myślała, że chodzi o żywego psa. Niewątpliwie wszystkim lokatorom bloku oblała się o uszy wiadomość o jakimś psie pana Prentice'a. Ale kto z nich wiedział, że to pies z kryształu, dzieło zmarłego niedawno artysty Edwarda Niedlanda?

Czy Elmquist mógł wiedzieć? A Murphy? Ciekawe, co powie Murphy? Przed szpitalem taksówkarz pogrążony był w lekturze gazety.

- Czy wie pan, gdzie jest Belvedere Clinic? - spytał go Jupe.

- Jasne, synu. Na rogu Wilshire i Yale.

- To proszę mnie zawieźć do tej kliniki.

Okazało się, że mały, prywatny szpital Belvedem Clinic znajduje się zaledwie o dwie przecznice od Paseo Place. Wszystko było tu bardziej eleganckie niż w Szpitalu Miejskim. Wszędzie różne ozdoby świąteczne, puszyste dywany. Recepcjonistka, ubrana nie na biało, lecz w różowym kitlu, zadzwoniła do sali pana Murphy'ego i zaanonsowała wizytę Jupitera.

Pan Murphy znajdował się w wielkim narożnym pokoju o dwóch oknach, przez które wpadały szerokie strumienie słonecznego światła. Leżał w łóżku, a jego rumiana zwykle

twarz była biała jak poduszka, na której spoczywał. Siostrzeniec Harley Johnson siedział na fotelu w nogach łóżka i patrzył na wuja z rozbawieniem a zarazem dezaprobata.

- Jeśli przychodzisz dawać mi nauki, te sobie daruj, proszę - wygarnął Murphy na powitanie Jupiterowi. - Harley mi już tyle nagadał, że na jeden dzień wystarczy.

- Zawsze mówiłem, że papierosy cię zabiją - siostrzeniec wystąpił z nową porcją morałów - ale nie spodziewałem się tego tak prędko!

- Byłem zmęczony - smętnym głosem powtarzał Murphy - byłem zmęczony, to wszystko. Zwykle bardzo uważam. W sypialni nie mam ani jednego papierosa.

- Powinieneś więc być położyć się w sypialni, a nie na sofie.

- Nie ma nic okropniejszego niż przykładowy siostrzeniec.

- Czy to tak właśnie było? - spytał Jupiter. - Zasnął pan na sofie i upuścił papierosa?

- Tak przypuszczam. Pamiętam, że wróciłem od tego rozbitego samochodu pani Bortz i usiadłem na chwilę. Chciałem wypalić papierosa i pójść do łóżka. Wtedy musiałem usnąć. Następnie, co zapamiętałem, to pokój pełen dymu. Próbowałem odnaleźć drzwi. A potem straciłem przytomność.

- Poszedł pan w złą stronę. Do sypialni.

Murphy skinął głową.

- Wyciągnąłeś mnie stamtąd.

- Wszyscy rzucili się na ratunek - powiedział Jupe. - Bob, Pulo i Sonny Elmquist. To on pierwszy zauważył, że się pali.

- Taki to osobliwy człowieczek. Pojawia się znienacka. Nigdy go nie lubiłem. A teraz zawdzięczam mu życie.

- Panie Murphy, czy pan wiedział o tym, że pan Prentice będzie miał psa?

- Psa? - Murphy uniósł głowę z poduszki. - A co on by robił z psem? Słyszałem, że mieszkanie ma pełne antyków. Psa? Chyba żartujesz!

- Pani Bortz złościła się z tego powodu.

- Ona się o wszystko złości. Kto by tam jej słuchał! Miałe tym jęzorem bez opamiętania.

Spoczął bezwładnie na poduszce, jakby był wyczerpany. - Może się wyprowadzę - spojrzał na Jupe'a. - Wy, chłopcy, również powinniście trzymać się od tego bloku z daleka. To nie jest bezpieczne miejsce.

Harley wstał z fotela.

- Nie martw się teraz o to - powiedział. - Lekarz podkreślał, że potrzebujesz odpoczynku. Pójdę do domu i spróbuję zrobić tam trochę porządku. Kiedy poczujesz się

lepiej, możemy poszukać nowego mieszkania.

- Dobry z ciebie dzieciak, Harley - uśmiechnął się Murphy. - Czasem myślę, że to bardziej ty jesteś moim opiekunem niż ja twoim.

Harley i Jupiter wyszli razem.

- Mój wuj pali za dużo. Za wiele też pracuje i za bardzo się wszystkim martwi. Pod pewnym względem jestem prawie zadowolony, że zdarzył się ten pożar.

Jupe rzucił na Harleya uważne spojrzenie.

- Oczywiście nie cieszy mnie to, że on jest teraz w szpitalu i te wszystkie sprawy - wyjaśnił szybko Harley. - Ale był ostatnio taki nerwowy, źle sypiał. Zauważyłem to w czasie Bożego Narodzenia, kiedy wspólnie spędzaliśmy święta. W nocy wstawał wiele razy i chodził po pokoju tam i z powrotem. Nie jestem pewien, czy interesy idą mu dobrze. Na szczęście nie nawdychał się zbyt dużo dymu. W porę go wyciągnęliście. Ale lekarz chce, żeby wuj poleżał jeszcze w łóżku parę dni. Zrobią mu badania, a on nadrobi zaległości w spaniu.

- Jestem pewien, że wykorzysta okazję - powiedział Jupe, gdy wyszli z kliniki na ulicę Wilshire i skierowali się ku Paseo Place. - Ostatnio bardzo dziwne rzeczy dzieją się w tym bloku. Byłeś tam w ten wieczór, kiedy zdarzyło się włamanie?

- Nie, to mnie ominęło. Byłem na kolacji z przyjaciółmi. Wuj John opowiadał mi potem o włamywaczu, który uciekał przez nasze podwórko. A teraz, jak słyszałem, kogoś chcieli otruć, a komuś innemu wsadzili bombę do samochodu. Wuj John ma rację. To nie jest bezpieczne miejsce.

- Czy ktoś ci mówił, że pan Prentice będzie miał psa?

- Nie. Ale oprócz wuja z nikim z tego bloku nie rozmawiam. I nie mogę słuchać tej baby Bortz.

Harley gwizdnął, gdy ujrzał okna wujowego mieszkania. Kawalki szyb tkwiły jeszcze w ramach, a za nimi zwieszały się strzępy zasłon.

- Najpierw muszę tu ściągnąć szklarza - powiedział, obmacując kieszenie w poszukiwaniu kluczy. - Założę się, że w środku jest koszmar. W złą porę zostawiłem wuja samego.

Jupe próbował uporządkować wrażenia i obserwacje. Czy Gwen Chalmers była rzeczywiście niewinną ofiarą? Czy Murphy naprawdę nie słyszał o Karpackim Ogarze? A czy Harley to tylko chłopak z zewnątrz, na jakiego wygląda?

Jeżeli tak, to do sprawdzenia pozostaje wyłącznie Sonny Elmquist. Jest jedynym sąsiadem, który mógł wiedzieć o kryształowym psie. I jest jedynym sąsiadem, który w bloku pozostał.

W tym momencie Jupe coś sobie uświadomił. Ktoś usiłuje usunąć ludzi z tego budynku. Wszelkimi sposobami, nawet zbrodnictwami. Czy teraz przyjdzie kolej na Trzech Detektywów?

## Rozdział 16

### Niewidzialny pies

Jupiter zadzwonił do mieszkania pana Prentice'a. Otworzył mu Charles Niedland.

- Wejdź - zaprosił. - Twój przyjaciel Bob wrócił właśnie z Ruxton i strasznie chce podzielić się jakimiś wiadomościami.

Bob siedział na sofie, trzymając przed sobą otwarty notes. Pan Prentice przyniósł sobie mały antyczny fotel.

- Jak miewa się panna Chalmers? - zapytał.

- Już dobrze.

- Bogu dzięki - ucieszył się Prentice. - A pan Murphy? Widziałeś się z nim?

- Tak. To nic poważnego. Czy podjął pan pieniądze na okup za Ogara?

- Może parę razy w życiu byłem w takich nerwach jak dzisiaj - Charles Niedland wskazał na torbę z szarego papieru, leżącą na stoliku. - Zwykle mam przy sobie ze trzy dolary i parę kart kredytowych. A tu musiałem towarzyszyć Fentonowi Prentice'owi, który paradował po mieście z dziesięcioma tysiącami dolarów w drobnych banknotach. I tę gotówkę wepchał do papierowej torby na zakupy!

- Bardzo sprytnie! - uśmiechnął się Jupe. - Taka torba nikogo nie skusi.

Znowu zabrzmiał dzwonek do mieszkania. Niedland otworzył Pete'owi.

- Kierownik supermarketu nie lubi chłopaków, którzy łążą po sklepie i nic nie kupują. Wziąłem w końcu "Los Angeles Magazine", ale i tak nie przestał zrzędzić - Pete usadowił się na sofie obok Boba. - W każdym razie Sonny Elmquist rzeczywiście tam pracuje. A Hassell naprawdę zamieszkał w motelu.

- Dobra - skwitował Bob. - Wobec tego porozmawiajmy o Sonnym Elmquiście.

- Czego się dowiedziałeś? - spytał Jupiter.

- Że niektórzy ludzie mogą przebywać jednocześnie w dwóch miejscach!

Bob powtórzył zasłyszane na Ruxton opowieści o ciałach astralnych.

- Innymi słowy - podsumował Jupe, gdy Bob dojechał do końca - Elmquist może przenikać przez ściany i przechodzić przez drzwi zamknięte na klucz.

- Przypuszczam, że jest w stanie przenosić się tam, gdzie chce, a może trafia również w miejsca, których sobie nie wybiera. Jak dalece potrafi to kontrolować, trudno powiedzieć. Może nawet nie mieć nad tym żadnej władzy. Jeżeli należy do kategorii wędrowców, którymi zajmowała się profesor Lantine, jest w stanie przenosić się w inne miejsca tylko wtedy, gdy

śpi.

- Klawo! - krzyknął Pete. - Dzisiaj mamy go z głowy. Kierownik sklepu nie da mu się zdrzemnąć nawet przez sekundę!

Fenton Prentice wstał, chwycił torbę z dolarami i włożył ją do małej szafki, której drzwiczki zamknął na klucz.

- Jestem przekonany, że nie zdecyduje się wpychać swojej astralnej głowy do tak ciasnego mebla - powiedział zadowolony.

- Nawet gdyby ją tam wepchnął, to zobaczy tylko papierową torbę - zapewnił Bob. - Według profesor Lantine, ciała astralne niczego nie ruszają z miejsca, nie mogą podnieść nawet kartki papieru.

- Dlatego moje rzeczy nie były ruszane od czasu, gdy odebrałem klucz tej babie Bortz - pokiwał głową Prentice.

- Jako ciało astralne mógł oglądać pańską mandalę - powiedział Jupe. - Mógł też dowiedzieć się o Karpackim Ogarze. Niewykluczone, że słyszał pańską rozmowę telefoniczną z panem Niedlandem. Ale, ponieważ ciała astralne nie przenoszą przedmiotów z miejsca na miejsce, nie mógł być włamywaczem ani żadnym innym złodziejem.

Pete, który od paru chwil stał przy oknie, poinformował, że siostrzeniec Murphy'ego wyszedł z budynku.

- Zostaliśmy więc tutaj sami - stwierdził Jupe, wpatrując się w szafkę, do której Prentice schował torbę z pieniędzmi. - A tu mamy torbę pełną banknotów. Ponieważ znajdują się w torbie, są niewidzialne - uśmiechnął się i oczy mu błysnęły.

- Ej, Jupe, ty coś wiesz! - krzyknął Bob, widząc, że przyjaciel doznał jakiejś iluminacji, olśnienia. Błysk w jego oczach świadczył o tym nieomylnie. - Jupe, musisz nam to zdradzić!

- Streszczę wam kryminał, który czytałem dawno temu. To historia morderstwa popełnionego w dawnych czasach niewidzialnym narzędziem. Mąż i żona jedli obiad z przyjacielem. Mężczyźni się pokłócili i doszło do bójki, podczas której świece powypadały z lichtarzy, pogasły i zrobiło się zupełnie ciemno. Kobieta poczuła w pewnym momencie, że ktoś trzyma ją za spódnicę. Zaczęła krzyczeć. Wbiegła służba. Znalazła martwego pana, a jego krwią splamiona była spódnica pani. Nie znaleziono natomiast żadnego narzędzia zbrodni. Początkowo uznano więc, że mordu dokonał demon. A prawda była taka, iż mężczyznę zadźgano "niewidzialnym" narzędziem, a mianowicie nożem wykonanym ze szkła. Uczynił to po ciemku gość małżonków, a zaraz potem wytarł klingę w spódnicę kobiety. Następnie zabójca włożył szklany nóż do dzbana z wodą. Zanurzone w wodzie

narzędzie zbrodni było zupełnie niewidoczne; “niewidzialne”.

- Panie Prentice, dlaczego ktoś próbował otruć pannę Chalmers? - Jupe nagle zmienił temat. - Czy jest jakiś inny powód oprócz faktu, że dziewczyna pływała co wieczór w basenie?

- Wielkie nieba! - krzyknął Charles Niedland.

- A pani Bortz - kontynuował Jupe - wiadomo, że babsko jest paskudne, ale nikt nie robił jej krzywdy do momentu, gdy obwieściła, że spuści wodę z basenu. Panie Prentice, szukaliśmy kryształowego psa, który jest niewidzialny, tak jak niewidzialny był szklany nóż wsadzony do dzbana z wodą.

- Basen! - krzyknął Bob. - On jest w basenie.

Jupiter stał rozradowany, z rękami wspartymi na biodrach.

- Jutro płaci pan okup za kryształowego psa. A gdybyśmy tak odzyskali Ogara dzisiaj? To doskonały moment. Oprócz nas nie ma nikogo w całym budynku.

- Za to ręczę głową - oświadczył Prentice.

- Bob - uśmiechnął się Jupe - pilnuj tylnego wyjścia. Pete stanie na straży przy głównej bramie.

- A ty?

- A ja idę popływać - Jupe rozpiął już koszulę. Bob i Pete zajęli swe posterunki, a Prentice i Niedland podeszli z Jupe'em do basenu. Jupe rozebrał się do slipek i drżący wszedł do płytkiej wody.

- Ostrożnie! - napominał Prentice.

Jupe posuwał się ku głębszej części, sprawdzając przestrzeń nad błękitnymi i złotymi płytkami na dnie niecki. Kiedy woda sięgnęła mu pod brodę, zanurkował i płynął powoli żabką tuż nad dnem. W pewnym momencie coś wymacał.

- Znalazł go! - wyszeptał ogromnie podniecony Fenton Prentice. - Na Jowisza, znalazł!

Jupe wystrzelił na powierzchnię. W ręce trzymał przedmiot, od którego zwisała gruba, złota nić. Podał to Prentice'owi.

- Ogar! - wykrzyknął starszy pan. Obracał rzeźbę w rękach. Była to dziwnie piękna figurka muskularnego psa o masywnej, kanciastej głowie. Duże, okrągłe oczy były okolone złotymi pierścieniami, kryształowe szczęki porastał złoty meszek. Od szklanej podstawy po koniuszki uszu rzeźba miała około sześciu cali wysokości. Pomiędzy łapami zwierzęcia tkwiła czaszka człowieka. W talii ogara przewiązано złotą, grubą nić z bardzo długim końcem.



- Takie proste. Włamywacz nie musiał nawet zamoczyć sobie ręki. Po prostu opuszczał Ogara na złotym sznurku, aż ten sięgnął dna. Złota nić też była niewidzialna, bo przecież złoto i błękit to kolory tego basenu.

- Genialne! - zachwycił się Charles Niedland.

- Czy mogę go dostać z powrotem? - Jupiter zwrócił się do Fentona Prentice'a.

- Proszę?

- Czy mogę dostać z powrotem Ogara. Chcę go umieścić ponownie w basenie.

- Po co, do licha?

- Bo dzisiaj w nocy włamywacz przyjdzie pewnie po rzeźbę. Wciąż liczy na to, że jutro zapłaci pan okup. Wsadzimy niewidzialnego psa do jego kryjówki, to jest do basenu, włączymy naszą kamerę i zobaczymy na monitorze włamywacza!

- Rozumiem - Fenton Prentice wciąż przyciskał Ogara do piersi.

- To niegłupie, Fenton - przyznał Charles Niedland.

- Ale... pies może się stłuc, uszkodzić, popękać!

- Jak do tej pory, włamywacz był bardzo ostrożny - zauważył Jupe. - Myślę, że nadal będzie uważał.

Fenton Prentice westchnął ciężko i podał kryształową statuetkę Jupe'owi, który powoli umieścił ją na poprzednim miejscu, na dnie basenu.

Ledwie Jupe zdołał wyjść z wody, gdy Pete zaalarmował od głównej bramy, że zbliża się Hassell. Wszyscy pospiesznie umknęli do mieszkania pana Prentice'a. Jupe włączył monitor.

Na ekranie widać było Hassella obojętnie mijającego basen, Nie spojrzał nawet na falującą wodę.

- To chyba nie on jest włamywaczem - skomentował ten brak zainteresowania Pete.

Po chwili zaczęły się schodzić koty. Obsiadły łukiem drzwi mieszkania Hassella. Nie czekały długo. Hassell wystawił przed próg kilka pełnych jedzenia misek. Przypatrywał się kociakom, a gdy wylizały już naczynia, głaskał zwierzaki i przemawiał do nich. Po pewnym czasie całe zgromadzenie rozproszyło się, a i sam Hassell opuścił Paseo Place.

Prentice i jego goście również przyrządzili sobie coś do jedzenia, ale bez przerwy ktoś zerkał na monitor. O jedenastej pogasły światła na dziedzińcu. Pete sięgnął po kurtkę.

- Idę stanąć na czatach na galerii - oznajmił.

- Chyba pójdę z tobą - podniósł się Jupe.

- Ja też - Bob nie wahał się ani chwili. - Tej nocy coś powinno się zdarzyć. Chcę to zobaczyć!

## Rozdział 17

### Nocny połów

O północy szczęknięła brama. Szczupła, przygarbiona sylwetka Sonny'ego Elmquista pojawiła się na dole i zniknęła w głębi mieszkania. Na krótko rozjaśniły się tam okna, a potem zapanowała ciemność.

Obserwatorzy na galerii czekali.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Trzej Detektywi mogli zobaczyć jakąś sylwetkę poruszającą się na dole!

Pete chwycił Jupe'a za ramię.

Sylwetka, jakby utkana z cienia, sunęła powoli ku basenowi. Brodziła bezgłośnie po płytkiej wodzie, niemal w ogóle jej nie marszcząc.

Nagle Trzej Detektywi usłyszeli, jak postać w basenie robi głęboki wdech. Następnie z cichym pluskiem zanurzyła się zupełnie. Pod wodą pojawił się snop światła. Ten ktoś w basenie miał wodoszczelną latarkę. Światło omiatało dno zbiornika.

W blasku latarki ukazała się dłoń, która chwyciła jakiś niewidoczny przedmiot. Na pewno przezroczystego Karpackiego Ogara!

Pływak wynurzył się i wyszedł z basenu. Chwilę później było słychać, jak otwiera i zamyka drzwi.

Pete wszedł cichutko do mieszkania Prentice'a.

- To był Elmquist! - wyszeptał.

Trzej Detektywi, a za nimi Prentice i Charles Niedland, zbiegli na dół po schodach.

W oknach Sonny'ego Elmquista było ciemno. Jupiter nacisnął dzwonek, zaczekał sekundę, nacisnął znowu,

- Elmquist! - krzyknął. - Niech pan otwiera! Bo zadzwonimy na policję, a oni drzwi wyważą.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Elmquist ubrany w szlafrok.

- O co chodzi? Spać nie dają! Czego chcecie?

Jupe sięgnął za futrynę, wymacał wyłącznik. W świetle lampy błyszcząły mokre włosy Elmquista, posklejane w czarne kosmyki.

- Był pan w basenie - powiedział ostro Jupiter.

- Nie byłem - zaprzeczył Elmquist, ale stróżka wody pociekła mu z włosów na czoło. - Ja tylko brałem prysznic.

- Nie. Pan przed chwilą był w basenie. Ślady mokrych stóp prowadzą do pańskich drzwi - wskazał Jupe.

- No dobra, byłem w basenie - wzruszył ramionami Elmquist. - Mieliśmy ciężki dzień w sklepie. Pływanie pozwala się odprężyć. I co z tego?

- Gdzie jest Karpacki Ogar? - krzyknął Prentice. - Ty kanalio! Ty złodzieju!

- Nie wiem, o czym pan mówi! - wypierał się Elmquist, lecz równocześnie patrzył za siebie, w głąb kuchni.

- Pewnie jest w którejś szafce - powiedział Jupiter. - Nie miał czasu dobrze go schować.

- Powariowaliście chyba!

- Panie Prentice, lepiej chyba zadzwonić po policję - zniecierpliwiał się Jupiter. - Niech pan poprosi, żeby przyjechali i wzięli ze sobą nakaz rewizji.

- Nie będzie żadnej rewizji. Nie dostaniecie nakazu rewizji w środku nocy!

- Może nie dostaniemy - zgodził się Jupe. - Poczekamy wobec tego do rana. Będziemy siedzieć tu na dziedzińcu i mowy nie ma, żeby nam pan się wymknął.

- Nie wolno wam tego robić! - krzyczał Elmquist. - To jest prześladowanie!

- A niby dlaczego? - zdziwił się Jupe. - Nie wolno siedzieć na podwórku? Ale po co ma pan sobie robić dodatkowe kłopoty? Proszę nam oddać kryształowego psa, to nie będziemy musieli wzywać policji, żeby go odzyskać.

Elmquist przez dłuższą chwilę patrzył na niego z nienawiścią.

- Jest w kuchence - powiedział w końcu ponuro. - Miałem zamiar go zwrócić, panie Prentice. Naprawdę.

- Po wypchaniu kieszeni dziesięcioma tysiącami dolarów? - prychnął pogardliwie Prentice.

- Dziesięć tysięcy dolarów? - Elmquist zdawał się rzeczywiście nie rozumieć. - Jakie dziesięć tysięcy?

- Nie wie pan? - spytał Jupiter Jones. - Naprawdę nie wie pan o tych pieniądzach?

- Myślę, że pan Prentice mógłby mi dać jakąś małą nagrodę za odnalezienie psa, ale nie dziesięć tysięcy...

Fenton Prentice przeszedł obok Sonny'ego Elmquista, odnalazł kuchenkę i wyjął z piekarnika kryształowego psa, na którym owinięta była złota nić.

- Panie Prentice, nie przypuszczam, żeby on wiedział o okupie - oświadczył Jupiter. - To nie jest włamywacz. On tylko, dzięki swoim ponadnaturalnym zdolnościom, zobaczył coś we śnie i wszedł w posiadanie pewnych informacji.

Sonny Elmquist wzdrygnął się i wyraźnie pobladł. Grdyka chodziła mu w dół i do góry, jakby ciągle coś połykała.

- Co pan zobaczył, Elmquist? - spytał Jupe. - Kiedy tu pan siadł przed telewizorem i zasnął, co pan widział?

Elmquist trzął się.

- Nic nie mogę na to poradzić. Takie sny przychodzą i już...

- Co się panu śniło?

- Śnił mi się pies, szklany pies. Widziałem kogoś, kto przyszedł w nocy, po ciemku i włożył tego psa do wody. Nie mogłem poznać, kto to był.

- Myślę - powiedział Jupiter do przyjaciół - że on mówi prawdę.

## Rozdział 18

### Okup i pułapka

- Słuchajcie, ludzie, wyciągnąłem tego psa z basenu dla pana Prentice'a - zapewniał Sonny Elmquist. - Zamierzałem mu go oddać. Uczciwie mówię. A przede wszystkim, to nie ja go ukradłem.

- Nie, to nie pan - zgodził się Jupe. - Pan spał, kiedy włamanie miało miejsce. Ale kiedy pan znalazł psa, schował go pan. To nie wygląda dobrze.

- Włóż coś na siebie i chodź z nami na piętro - polecił Elmquistowi Charles Niedland.  
- Musimy cię mieć stale na oku.

- Nie ma pan prawa mi rozkazywać! - Elmquist patrzył na Niedlanda z wściekłością. - Nie jest pan właścicielem tego budynku.

- A ty nie masz prawa wdzierać się do mojego mieszkania, w żaden sposób - oświadczył Fenton Prentice. - Zrobisz to, co ci powiedziano, albo wezwiemy policję, która aresztuje cię za zagarnięcie cudzej własności!

Elmquist odwrócił się i zniknął w sypialni, trzaskając drzwiami za sobą. Po paru minutach wyszedł ubrany w czarny sweter i jasne spodnie.

- Spędzisz noc u mnie w salonie, ale nie wolno ci usnąć - zarządził Prentice.

Sonny Elmquist kiwnął głową ponuro.

- Przypuszczam, Jupiterze, że tej nocy nadal zamierzasz czatować na włamywacza? - spytał Prentice.

- Te hałasy mogły go spłoszyć, ale kto wie, czy się nie pojawi za jakiś czas.

Prentice z ociąganiem wręczył Jupiterowi statuetkę i poszedł do mieszkania wraz z Charlesem Niedlandem i Elmquistem. Detektywi umieścili Ogara na dnie basenu i ponownie stanęli na czatach na galerii. Włamywacz nie pokazał się jednak tej nocy. Godziny mijały powoli w chłodzie i ciemności, aż nadszedł szary i mglisty świt.

- Włamywacz wcale nie musi wyjmować psa z basenu - zauważył rano Jupe. - Może zamierza po odebraniu okupu po prostu powiedzieć panu Prentice'owi, gdzie znajduje się rzeźba.

- Macie ochotę na śniadanie? - w drzwiach mieszkania pojawił się Prentice. Był jak zawsze nieskazitelnie ubrany, ale teraz wydawał się również odprężony.

Do jedzenia zasiedli wszyscy z wyjątkiem Sonny'ego Elmquista. Zagłębił się w fotelu w gabinecie i odmawiał przyjmowania jadła i napojów. Nie chciał też rozmawiać.

Po śniadaniu Jupiter zaczął ciąć starą gazetę na równe prostokąty o dwu calach szerokości i pięciu calach długości.

- Po co ty to robisz? - spytał Bob.

- Niebawem włamywacz poinformuje nas, kiedy ma być dostarczony okup. Musimy mieć gotowe pliki banknotów - wyjaśnił Jupe. - Pan Prentice wie już, gdzie jest jego pies, więc te banknoty nie muszą być prawdziwe. Ale tę makulaturę warto włamywaczowi podrzucić, bo będziemy mieli w ten sposób okazję, by go zidentyfikować. Posmarujemy te "pieniądze" moją magiczną pastą. Nie wiadomo, czy uda nam się zobaczyć włamywacza, ale kiedy weźmie do rąk te banknoty, będzie już miał na sobie ślady nie do usunięcia. Wtedy go będziemy mieli!

- Zakładasz, oczywiście, że to ktoś, kogo znamy - powiedział Fenton Prentice.

- Oczywiście, że go znamy - Jupe nie miał najmniejszych wątpliwości. - On wiedział, jak bardzo Gwen Chalmers przepada za słodyczami i wiedział, że pani Bortz jeździ na zakupy o czwartej rano. To musi być ktoś stąd.

- Hassell! - wykrzyknął Pete. - Tylko on pozostał!

Jupe uśmiechnął się i milczał.

- Ty już wiesz, kto jest włamywaczem! - powiedział Prentice.

- Wiem - potwierdził Jupe - ale nie mogę tego udowodnić. Na razie nie mogę. Kiedy włamywacz spróbuje odebrać okup, wtedy zdobędziemy dowód!

O dziesiątej listonosz przyniósł pocztę, a w niej list bez podpisu, wydrukowany na maszynie.

ZAPAKUJ PIENIĄDZE W SZARY PAPIER I WRZUĆ DO KOSZA NA ŚMIECI PRZY WEJŚCIU DO PARKU DZISIAJ DOKŁADNIE O PIĄTEJ PO POŁUDNIU.

Była to biała kartka z przyzwoitej papeterii, a stempel na kopercie świadczył, że list wysłano poprzedniego dnia.

- Dobrze! - Jupe uśmiechnął się z zadowoleniem. Przystąpił do smarowania pliku rzekomych dolarów magiczną pastą, a pan Prentice odszukał arkusz szarego papieru.

- O piątej po prostu dojdzie pan do parkowej bramy - Jupe instruował Prentice'a - i wrzuci to do kosza, tak jak życzył sobie włamywacz. Radziłbym panu wziąć jakieś stare rękawiczki, żeby nie pobrudzić się tą pastą. Trzeba, naturalnie, zawiadomić policję. Obstawiają park i, kiedy facet wyjmie paczkę z kosza, będą go mieli.

- A jeśli jakiś włóczęga wcześniej się na to zawiniątko połakomi? - martwił się

Prentice. - Mało to ludzi grzebie w śmietnikach?

- Włamywacz na pewno do tego nie dopuści. Będzie pilnie obserwował kosz.

- A my nie będziemy oglądać tej końcowej akcji? - spytał Pete.

- Oczywiście, że będziemy. Zainstalujemy się w punkcie obserwacyjnym. Pan Prentice nas nie zobaczy, ale my zobaczymy wszystko!

## Rozdział 19

### Żelazne alibi

Kwadrans przed piątą Bob, Pete i Jupiter ukryli się w krzakach koło plebanii. W małym parku po przeciwnej stronie ulicy nie było nikogo oprócz sprzątacza, który chodził tam i z powrotem po trawnikach, nabijał śmieci na szpikulec i wkładał do worka.

- Włamywacz nadejdzie od strony Wilshire - przepowiedział Jupiter.

Furgonetka z prasą zatrzymała się przy krawężniku niedaleko od wejścia do parku. Wyskoczył z niej mężczyzna, zdjął dużą paczkę gazet i położył na chodniku. Samochód odjechał, a facet z gazetami pozostał, chyba miał zamiar je sprzedawać.

Z tyłu za chłopcami otworzyło się okno na plebanii.

- Chodźcie do środka, tu będzie wam wygodniej! - zapraszał znajomy głos.

Pete odwrócił się. Ksiądz McGovern stał w oknie i palił fajkę.

- Nie przystoi tak chować się w krzakach - upomniął chłopców łagodnie. - No, przejdźcie do frontowych drzwi, ja was wpuszczę i stąd bodziecie wszystko widzieć.

Jupiter Jones poczuł, że robi się czerwony jak burak.

- W tych krzakach wcale nie jesteście niewidzialni - zwrócił uwagę proboszcz. - Proszę do środka. Policja nie chce, żebyście znowu mieszały się w jej sprawy.

Chłopcy wybiegli pospiesznie z krzaków i udali się na plebanię.

- Widziałem, jak szliście ulicą. I ten mężczyzna z gazetami, i ten drugi, który zbiera śmieci, na kogoś tu czekają. Czy to ma jakiś związek z Earlem i z kradzieżą?

- Myślę, że to są tajniacy, proszę księdza - powiedział Jupiter.

- Tak, ten z workiem na śmieci to sierżant Henderson Był u Earla w szpitalu. Poznałem go tam. Tego drugiego, sprzedawcy gazet, nie znam Ale tutaj pod parkiem nikt nigdy nie sprzedawał gazet.

- Z księdza jest całkiem niezły detektyw - wystąpił z komplementem Bob. - A jak miewa się Earl?

- Już dobrze. Cieszy się, myślę, że to ktoś go uderzył. Nie chciał uwierzyć w to, iż mógł po prostu upaść - proboszcz zapalił ponownie fajkę, która mu właśnie zgasła. - A jeśli chodzi o panią O'Reilly, to ma dzisiaj wychodne i dlatego właśnie najspokojniej palę fajkę w salonie.

Jupiter Jones roześmiał się, a potem spojrzął na zegarek.

- Już prawie piąta.



W polu widzenia pojawił się Fenton Prentice z paczką zawiniętą w szary papier. Stał koło wejścia do parku, przy koszu przepełnionym odpadkami, na tę przyzmę śmieci położył pakunek i odszedł.

W tym momencie zza rogu, od strony Wilshire wyłonił się mężczyzna, który wyglądał jak zupełny abnegat. Kołnier poszarpanego płaszcza miał podniesiony, dla ukrycia braku koszuli. Spodnie imponowały wielkością wypchanych worów na kolanach, przy czym mankiet od jednej nogawki był całkowicie urwany.

- Och! Biedna, zbłąkana dusza! - westchnął ksiądz McGovern.

Oberwaniec znalazł się koło wejścia do parku. Sprzątacze wygrzebywał właśnie coś z trawy nie dalej jak parę metrów od niego. Sprzedawca prasy przeliczał gazety.

Kloszard wyciągnął rękę do kosza na śmieci, chwycił pakunek w szarym papierze i wepchnął go za pazuchę.

Sprzedawca gazet ruszył biegiem za nim.

Sprzątacze również porzucił swój kij ze szpikulcem i worek i popędził za mężczyzną, który uciekał środkiem ulicy. Widząc to, Pete wyskoczył przez okno z księżowskiego salonu.

Rozległ się klakson i jakieś auto zatoczyło szeroki łuk, by nie potrącić gnającego środkiem jezdni mężczyzny w łachmanach.

Policjanci krzyczeli, jeden nawet strzelił w powietrze, ale uciekinier dotarł do narożnika Wilshire, skręcił w prawo i znikł.

- Bardzo księżda przepraszam! - powiedział Jupiter i wyskoczył przez okno, a Bob za nim.

Z piskiem opon zahamował samochód policyjny.

- Pobiegł zachodnią stroną Wilshire - policyjnego kierowcę poinformował sierżant Henderson, jeszcze pół minuty temu sprzątacze parkowy.

- Zaczekajcie! - krzyknął Jupe.

- Co jest? - policjanci patrzyli niechętnie.

- Nie ma się co spieszyć. Wiem, gdzie ten złodziej jest razem z pakunkiem rzekomych banknotów. Nie będzie próbował się ukrywać. Ma stuprocentowe alibi.

- A, to ty jesteś ten spryciarz, o którym opowiadał pan Prentice - przypomniał sobie sierżant Henderson. - Dobrze, synu, więc gdzie on jest?

- On jest, a raczej za parę minut będzie, w Belvedere Clinic. To zaledwie kilka przecznic stąd.

Kierowca radiowozu popatrzył spode łba, a potem powiedział:

- Dobra, włączcie!

Trzej Detektywi wgramolili się na tylne siedzenie wozu policyjnego. Silnik ryknął i samochód w mgnieniu oka znalazł się przed kliniką. Recepcjonistka w różowym kitlu była głęboko oburzona, gdy detektywi i policjanci przegalopowali przed jej biurkiem, nie pytając w ogóle, czy wolno.

Murphy znajdował się oczywiście w swoim wspaniałym pokoju narożnym na drugim piętrze. Leżał w łóżku przykryty kołdrą aż po brodę. Przeniósł wzrok z telewizora na mężczyzn i chłopców tłoczących się w drzwiach.

- Co się stało? - spytał.

- Czy paczka z pieniędzmi jest w szafie, panie Murphy - zagadnął Jupiter - czy schował ją pan pod kołdrę?

Murphy usiadł. Był czerwony na twarzy i oddychał chrapliwie. Kołdra zsunęła mu się na bok, ukazując poszarpany płaszcz, nałożony na gołe ciało. Nie miał na sobie koszuli.

Jupiter otworzył szafę. Leżała w niej paczka zawinięta w szary papier, jeszcze nie otwierana.

Murphy jęknął.

- Nawet gdyby pozbył się pan tego pakunku w drodze do szpitala, wszystko by się wydało. Ten szary papier jest posmarowany specjalną pastą. Już wkrótce na pańskich rękach pojawią się czarne plamy.

Murphy oglądał własne dłonie. Sierżant Henderson wysunął się do przodu.

- Ma pan prawo odmówić zeznań - przypomniał.

- Tak, wiem. Znam przysługujące mi prawo. Chcę się skontaktować z moim adwokatem.

Sierżant przypatrywał się Trzem Detektywom.

- Prentice mówił, że macie nosa. Hm. Doskonałe alibi, ta prywatna klinika. Kto by pomyślał?

- Murphy podpalił własne mieszkanie - powiedział Jupe - Potrzebny był mu jakiś powód, by trafić do szpitala. Wiedział, że między Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem nie będzie wielu pacjentów. W pożarze właściwie nie ucierpiał. Tu, w klinice, gdy poznał tryb pracy i zwyczaje personelu, wychodził i wracał, kiedy chciał. Nie pilnowano go specjalnie, siostry były zadowolone, kiedy pan Murphy spał.

## Rozdział 20

### Wizyta u pana Hitchcocka

Ponieważ pan Hitchcock uczestniczył w zdjęciach plenerowych do filmu według własnego scenariusza, dopiero w połowie stycznia Trzej Detektywi zdołali się z nim spotkać. Zajęty był akurat przeglądaniem magazynu "Art News".

- Właśnie czytałem o Karpackim Ogarze - powiedział. - W tym numerze jest bogato ilustrowany artykuł poświęcony pracom niedawno zmarłego Edwarda Niedlanda. Zamieszczono również zdjęcie kryształowego psa i przypomniano starą, transylwańską legendę.

Pan Hitchcock odłożył pismo na bok.

- Jeżeli zamierzacie opowiedzieć mi, jak skradziony Ogar powrócił do Fentona Prentice'a, to cały zamieniam się w słuch. W relacjach prasowych brak mi wielu szczegółów.

- Pan Prentice nie lubi rozgłosu - zauważył Bob. - To właśnie słyszałem - potwierdził Hitchcock. - Ale wspomniał, że trzech chłopcy z Rocky Beach ogromnie mu pomogli, dlatego oczekiwałem was z zaciekawieniem. Widzę, że znaleźliście nawet czas, by wszystko przelać na papier.

- Tak, tu oto mamy raport - Bob wręczył kilka kartek.

Zgodnie ze swoją zasadą pan Hitchcock nie mówił nic, dopóki nie przeczytał całego opisu. Kiedy skończył, milczał jeszcze przez chwilę, pogrążony w myślach.

- Zdumiewające! - oświadczył wreszcie. - Ktoś kładzie się spać, a potem wychodzi z własnego ciała i wędruje sobie. Przy Elmquicie zwykły duch staje się już postacią niemal nudną.

- On wciąż nie chce przyznać, że ma tak niezwykle możliwości - powiedział Bob - i, jak wynika z obserwacji profesor Lantine, jest to raczej typowa postawa. Nadnaturalne cechy własne wprawiają tych ludzi w lęk

- Nie dziwię się - pokiwał głową Hitchcock. - Jupiterze, jak domyśliłeś się, że to Murphy jest włamywaczem?

- W drodze zwykłej eliminacji. Najpierw nabrałem pewności, że przestępcą musi być ktoś miejscowy, kto wie, gdzie wiszą zapasowe klucze do kościoła. Usunięcie ze sceny panny Chalmers i pani Bortz oznaczało, że sprawca jest jednym z lokatorów bloku przy Paseo Place. Tylko bowiem mieszkaniec domu mógł znać tak dobrze zwyczaje tych kobiet.

Sonny Elmquist spał, kiedy dokonano włamania, to odsuwało od niego podejrzenie.

Harley Johnson miał niezbite alibi, łatwe do sprawdzenia. Pozostawał więc tylko Alex Hassell i John Murphy. Jeden i drugi przebywali poza domem w momencie włamania. Obydwaj słyszeli, jak pani Bortz zapowiadała spuszczenie wody z basenu. Później uświadomiłem sobie, że na Murphym ta informacja wywarła silne wrażenie i że tamtego wieczoru wyjeżdżał gdzieś samochodem.

- Prawdopodobnie po materiały wybuchowe - domyślał się Hitchcock. - Takich rzeczy nie trzyma się w domu.

- Właśnie: sprawa materiałów wybuchowych. To nie była bomba, która mogłaby spowodować masakrę, ale narobiła mnóstwo dymu i hałasu. Zamiarem zamachowca było tylko nastraszenie pani Bortz po to, by zapomniała o basenie na dzień lub dwa. Tyle tylko czasu potrzebował.

Nabrałbym pewności co do Murphy'ego wcześniej - ciągnął Jupe - gdyby nie pożar jego mieszkania. Nie wyglądało to na wypadek, bo Murphy naprawdę był ostrożny z papierosami. Ale mimo wszystko wydawał się bardziej ofiarą niż sprawcą. Zacząłem więc myśleć o Alexie Hassellu. Kiedy jednak przyszedł list z instrukcją, w jaki sposób Prentice ma dostarczyć okup, Hassell ostatecznie wypadł z listy podejrzanych. Pieniądze miały być włożone do kosza na śmieci o piątej po południu, dokładnie w porze codziennego dokarmiania kotów przy Paseo Place! Gdyby to Hassell był włamywaczem, nie wyznaczyłby godziny piątej!

- Na pewno piątej by nie wybrał - roześmiał się Hitchcock. - Nawet gdyby uznał, że koty mogą raz zaczekać, jego nieobecność o piątej na Paseo Place zwróciłaby uwagę. Ale dlaczego Murphy tak ryzykował dla dziesięciu tysięcy dolarów? Przecież był doświadczonym maklerem giełdowym. Tak bardzo potrzebował pieniędzy?

- Wydawało mu się, że tak - odpowiedział Jupe. - Wyjawiał teraz, że jako prawny opiekun Harleja wyjął znaczną sumę z bankowego konta siostrzeńca, zainwestował na giełdzie i wszystko stracił. Za miesiąc Harley będzie pełnoletni. Murphy powinien wtedy rozliczyć się z powierzonych jego pieczy pieniędzy siostrzeńca. Wynik tego rozliczenia oznacza więzienie. Dlatego desperacko próbował zdobyć dziesięć tysięcy, by je wpłacić na konto Harleja.

- Pospolita, smutna historia - westchnął Hitchcock.

- Harley już mu wybaczył - dodał Jupiter - ale oczywiście sprawa nie pozostanie w rękach Harleja. Rozstrzygnie ją sąd. Murphy poturbował Earla, posłał zatrute czekoladki Gwen Chalmers, ma na sumieniu włamanie i próbę wymuszenia okupu.

- Tu nasuwa się pytanie - zwrócił uwagę pan Hitchcock - skąd Murphy wiedział, że

Karpacki Ogar znajdzie się tamtego dnia w domu przy Lucan Court?

- Sonny Elmquist mu to powiedział! - wyjaśnił Bob. - Jupe miał rację, podejrzewając od razu, że istnieje jakiś związek pomiędzy duchem, który straszy w mieszkaniu Prentice'a i włamaniem. Widzi pan, w poniedziałek Elmquist, jako ciało astralne, podsłuchał, jak Prentice szczegółowo uzgadnia z Charlesem Niedlandem przez telefon, kiedy odbierze Ogara. Po przebudzeniu się Elmquist wyszedł na dziedziniec, gdzie siedział Murphy, i wspomniawszy mu o Ogarze. Elmquist właściwie nie miał pojęcia, co to jest Ogar, ale Murphy znał nazwisko Niedlanda i wszystkiego się domyślił. Wszedł więc do domu przy Lucan Court, w kominiarce, z bronią, zdecydowany obezwładnić Niedlanda.

- Musiał być rzeczywiście zdesperowany - przyznał pan Hitchcock.

- Kiedy Murphy wtargnął już do środka - opowieść przejął Pete - wydawało mu się, że ten skok to właściwie fraszka, bo w domu nie było nikogo. Ale zaraz potem pojawiła się policja i musiał w popłochu uciekać. Murphy bał się wejść ze statuetką do swojego mieszkania, wbiegł więc do kościoła. Tam udawał posąg, potem walnął biednego Earla pistoletem w głowę i schował kryształowego psa. Później wymknął się na zewnątrz, kominiarkę oraz ciemną marynarkę wrzucił do kosza na śmieci koło parku i poszedł do domu.

- A następnej nocy, przebrany za zjawę starego proboszcza, wrócił do kościoła po kryształową statuetkę! - wykrzyknął reżyser.

- Nie - Jupe pokręcił głową. - Murphy powiedział nam, że on również widział ducha proboszcza.

- Hm! - zastanowił się pan Hitchcock.

- Wystraszył się na widok upiora - opowiadał dalej Pete - ale opanował się i uciekł z Ogarem, zamykając Jupe'a w kościele. Jeszcze później, w nocy, kiedy wszystko się uspokoiło, umieścił Ogara na dnie basenu. Przypuszczamy, że Elmquist wędrował akurat przez dziedziniec jako ciało astralne i to wszystko zobaczył.

- A co z Elmquistem? - spytał reżyser.

- Może zamierzał zatrzymać sobie Ogara - odpowiedział Pete - ale w końcu nie miał takiej możliwości. Wciąż ma nadzieję, że wyjedzie do Indii, ale na razie nie wybiera się dalej niż do zachodniego Los Angeles. Pan Prentice rozmawiał z właścicielem bloku. Kazał Elmquistowi się wynieść.

- Czy straszył jeszcze kiedyś pana Prentice'a jako ciało astralne? - chciał wiedzieć pan Hitchcock.

- Nie. Nie było go przez dwa tygodnie i pan Prentice miał zupełny spokój. Pani Bortz również odeszła. Powiedziała, że ta dzielnica schodzi na psy, jest coraz więcej przestępstw i

ona nie będzie za to odpowiadać. Jest więc w bloku nowa gospodyni, która w ogóle nie wtrąca się w sprawy mieszkańców, pilnuje tylko, by nie było nadmiernych hałasów i by się nikt nie kąpał w basenie po dziesiątej wieczór. Pan Prentice jest bardzo z niej zadowolony.

- Wszystkie jego problemy zostały więc rozwiązane - podsumował pan Hitchcock. - A ten duch proboszcza?

- Być może był to jednak Elmquist w ciele astralnym - odpowiedział zamyślony Jupiter. - W białym golfie i ciemnym swetrze mógł się wydawać z pewnej odległości podobny do księdza. Ale skąd te białe włosy, Elmquist jest przecież brunetem? I świeca. Nie sądzę, by ciało astralne mogło trzymać w ręce normalną zapaloną świecę.

- Druga możliwość jest taka, że był to Elmquist w swoim zwykłym ciele, nie żadnym astralnym. Jeśli założymy że wcześniej Elmquist astralny zobaczył w kościele kryształowego psa, Elmquist normalny mógł później przyjść po statuetkę. A ponieważ nie brak mu złośliwości, przebrał się za starego proboszcza, który podobno w tym kościele straszy. Przebranie spłoszyłoby kogoś, kto by się akurat nawinął. To wyjaśnienie ma też słaby punkt: w jaki sposób Elmquist wydostał się z zamkniętego kościoła?

- Musimy więc pozostać przy trzeciej ewentualności... - pokiwał głową Alfred Hitchcock.

- Że był to duch starego proboszcza! - dokończył Bob. - Ale tego nigdy nie będziemy wiedzieć naprawdę.